



JAN MASZCZYSZYN

CHRONOMETRUS

CHRONOMETRUS

*Powieść chromocyjna*¹



Spis treści

Prolog

Księga pierwsza

1

2

3

4

5

Księga druga

1

2

3

4

5

6

Księga trzecia

1

2

3

4

Księga czwarta

1

2

3

4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27

Księga piąta

1

2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
26
25
27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

Przypisy końcowe

Dla Mamy

Jest pewna przyjemność w lasach bez ścieżek

Jest upojenie w samotnym wybrzeżu

Byron

Zapewne odłożenie księgi *Necrolotum* wiązało się u Państwa z żalem i mogło skłonić do rozważań nad dalszymi losami bohaterów.

Otóż śpieszę donieść niecierpliwym ziemskim rodakom, że tak; powrócą oni do wodnych odmętów, lecz droga, jaką obiorą, będzie zdradliwa i najdłuższa ze wszystkich możliwych.

PROLOG

Z brulionu hrabiego De Waay:

Notatka ściśle poufna – druga w kolejności, po pierwszej zrujnowanej i zaginionej.

Doprawdy, od chwili spostrzeżenia pośród wrogich szeregów obecności najgorszych, plugawych bestii z zaświatów, dręczyła nas świadomość przegranej wojny. Męczyła nas gorycz i upokorzenie. Któż niby miał być naszym panem od teraz? Któż władcą? Przecież nacja phologhonów, liczona w milionach, nie pozwoliłaby na kierowanie sobą nikomu, a zwłaszcza marnemu człowiekowi. Mieliby się kłaniać nędznym cesarskim kreaturom pochodzenia wyspiarskiego? I do tego jeszcze z ciasnych japońskich wysp, o których mówiło się, że są skalnym nieużytkiem?

Nawet przez chwilę nie pomyślałem, iż pod batem ludzkim miałby ulec przeciwnik tak hardy i wprost szatańsko inteligentny. Co prawda od dawien dawna było wiadomym, iż włóczące się nielegalnie wielorybnicze japońskie trawlerzy nie raz wchodziły istotom morskim w szkodę. Szczególnie często działo się to na wodach brytyjskich, które ze względu na swój ogrom trudne okazywały się do kontrolowania. Czyż nie mogli złoczyńcy poprobować pisemnych kontraktów? Zachęcić wojennymi łupami lud tak łapczywy i nienawykły do światła słonecznego? Czyż tu, na ziemi australijskiej, miałby się potwór rozpanoszyć i założyć kolonie w ciepłutkich koralowych akwenach? Przypuszczałem bowiem, że mu takie obiecano w zamian za mordercze usługi. A potem co? Ich potomkowie zwloką się gnuśnie na plaże i być może w płytkiej wodzie rozwiną w sobie jeszcze zdolność chodzenia? O bezczelności na ziemskim padole! A jeśli nie podołają wyzwaniu, pewnie skombinują protezy o tysięcznym udźwigu. Widziałem takowe w wyposażeniu kominowym na Ganimedzie! Wtedy szelmy wszystkiemu byłyby zdolne się przeciwstawić. Spotkałaby nas klęska po klęsce, a potem długa, uwłaczająca okupacja. A czyż my, obywatele prości, mielibyśmy potem te sprośności obcoplanetarnej natury zaakceptować?

Jakże to, miałbym we własnym kraju stać się ściganym, opluwanym i lekceważonym? Zmuszonym czuć się osaczonym i bezradnym jak zaszczute szczurze plemię? Gdzie naród, gdzież jego niezłomność?

Abelia ukradkiem ocierała łzy z policzka, podczas gdy ja nie potrafiłem uspokoić nerwów. Sprzeczne targały mną myśli. Unosiła mnie niehumanitarna gorączka i drżały mi dłonie. Pociłem się strasznie. Gorycz wręcz dusiła. Szczęściem nie ja prowadziłem automobil. Byłbym zaraz stoczył grata ze stromego klifu i roztrzaskał wprost na oceanicznych progach.

Podkręcałem tylko wąża niekontent, potem szarpałem bródkę i ukradkiem spoglądałem w boczne lusterko, skierowane ku wschodniej, czerwieniejącej od ognia i dymu linii horyzontu. Kierujący pojazdem lord też co rusz weń kątem oka zerkał. I para szła z automatycznego nastawnika, gdy przekręcał gniazdko turbodoładowania. W głębi duszy panikowałem. Jakby intuicyjnie przeczuwałem, że sunąć stamtąd zacznie pogorzelisko inwazji: setki tysięcy zatłoczonych azjatyckich sterowców i tłumy maszerujących, gderających w językach obcych żołnierzy jego cesarskiej mości.

Przestrzeń życiowa na naszym ogromnym kontynencie nagle się skurczyła. Dotąd nieprawdopodobna wizja zagłady totalnej – ot, ziściła się. Napawała mnie rosnącą trwogą każda kolejna minuta. Desperacja przybliżała do myśli o naszym nieuniknionym samobójstwie.

Znowu powróciłem do wspomnień. Od kilku dni próbowałem dokończyć wpis trzeci:

Wyjątek z brulionu hrabiego:

Wpis trzeci.

Ujrzałem przemykające nieopodal postacie.

– Co się dzieje? – rzuciłem jakby w pustkę ponad wypalonymi kikutami drzew. Potem ponowiłem wezwanie, próbując przekrzyczeć nagle, odległe dudnienie portowej artylerii. Ktoś wreszcie zwrócił na mnie uwagę. Jedna z postaci zatrzymała się i odwróciła obandażowaną głowę.

– Nie widzi pan? – zapytała z pretensją. – Idą... – rzuciła za siebie i odbiegła.

Wydawało się, że mężczyzna biegnący tuż za nią z dzieckiem na rękę ma spopieloną twarz. Ile było w niej bólu, ile trwogi, Bóg by nie uwierzył. Oczy przedstawiały sobą straszny widok. Prawdopodobnie oślepl był od odniesionych ran. Nie przestawał jednak uciekać w kierunku hałaśliwych doków. Był nie mniej przerażony niż dziecko. Za nim posuwali się jak cienie inni. Niektórzy pomagali kuśtykającym rannym. Nieliczni ciągnęli niewielki sprzęt wojskowy w stronę bulwarów Saint Kildy.

Po drugiej stronie usypanych z piasku i kamieni wałów widać było szybko przemieszczającą się piechotę morską. Migaty wojskowe hełmy. Podczas gdy ja stałem na rozbitej promenadzie, wsparty o krzywy mur, oni walczyli. Wyrzucąłem sobie własne zgnuśnienie, lecz po obfitujących w bitwy podwodnych przygodach i jaskiniowej wspinaczce ciągle jeszcze z trudem chodziłem.

– Jak to? – Odwróciła się do mnie jeszcze jedna z najbliższej się znajdujących osób, która zdaje się dostyszała poprzednią konwersację. – To pan nie wie? – pytała. Niewątpliwie była hrabianką, bo okazywała wobec mojej osoby, to jest obcego sobie mężczyzny, pretensję i czelność niestłuchaną. – Armady potężnych żeliwnych sterowców idą na nas na niskiej wysokości od strony spalonego Sydney. Nie dość, że ostrzeliwują teren, to jeszcze zrzucają desantowe samobieżne fortyfikacje. Nie dosyć, że rabują, to mordują ludzi za pomocą toczących się pułapek. A są to poruszające się samoczynnie beczki ze spryskiwaczami trucizn. Traktują nas jak poprzierastaną trawę. Nie oszczędzą nawet kobiet i dzieci. A pan się pyta i nic nie robi?

Potok jej słów, wypowiedzianych w skrajnym wzburzeniu, uderzył we mnie jak grom z jasnego nieba.

I tak oto się dowiedziałem...

Oto trwała ta najgorsza z dotychczasowych wojen. Pierwsza światowa lub – jak każe ją pamiętać historia – wielka wojna podziemna, która miała pochłonąć życie aż sześciu milionów samych Australijczyków, obrócić w perzynę wielkie kontynenty Chin i Indii oraz oprzeć się na krótką chwilę murami Nowego Imperium Japonii o świat arabski. Przyniosła z sobą coś jeszcze gorszego, co dopiero po tygodniu mieliśmy w osłupieniu odkryć i czego skutków doświadczyć.

Unię międzyplanetarną Azjatów z phologhonami.

Nie traciłem czasu, tylko czym prędzej pokuśtykałem do opuszczonego hotelu, gdzie na jedną noc znaleźliśmy stancję za pół zwykłej ceny i gdzie moja wybranka odpoczywała.

Wszystko opowiedziałem panu Duncanowi, lecz moja szybka relacja biegła w słowach bezładnych i pośpiesznych, stąd kiwał głową w zamyśleniu i z politowaniem. Zdawał się wszystko już wiedzieć i pragnął tylko, bym doznał ulgi, abym wszelkie kwasy z siebie wydzielił, wygadał w słowach żale i wyrzucił pretensję.

– O sprawach bieżących wywiedziałem się już od pokojówki – lakonicznie stwierdził na koniec – która wraz z resztą służby opuściła dom swoich państwa jakiś miesiąc temu i zatrudniła się w hotelu prowadzonym przez jakiegoś znajdę, ponoć dawnego ordynansa. To od niego odkupiłem stojący za garażem automobil wraz z kanistrami benzyny.

– Toż to nie była chyba jego własność. Jakże to tak? – oburzyłem się.

– Nie jego, ale to on dzierżył w ręce poręczną dubeltówkę, a nie ja. Przyszedłem zaledwie z kilkoma uncjami czystego złota, bez broni i z uczciwością wypisaną na twarzy. Potężnie zbudowany służący znakomicie panował nad sytuacją, stąd zacząłem się zastanawiać, jakim losem obdarował swoich prawomocnych panów, gdy mu stanęli na drodze. Byłby zdolny ich wymordować? Po błysku jego oczu podczas naszej konwersacji wszystkiego mogłem się spodziewać. Kąśliwie patrzyły. Na szczęście uznał moje prawo do pierwokupu, odszedł do swoich zajęć i oszczędził mi zdradzieckiej kuli. Chwała mu za to. Trzeba umieć odnaleźć się w sytuacji, Jacku, a nie zaraz kozaczyć – tłumaczył mi arystokrata. – Należy rozważyć każdy wybór. Czy mamy ujechać kilka tysięcy kilometrów na zachód i wyratować oficerski honor, czy też podkładać się ofiarnie na pozycji z góry straconej? Mamy szansę, kto wie czy nie jedną na milion? Uciekajmy póki czas i dopóki drogi są puste. Zatem niech pan czym prędzej rychtuje jedzenie na długotrwałą jazdę, jakieś krążki sera lub polcie suszonego mięsa. Może znajdzie pan w okolicznych opuszczonych domach ziemniaki i cebulę? I jakieś kuchenne sprzęty, byle nie za dużo. Ja w tym czasie nastawię korby, wyreguluję gaźnik i pomogę hrabiance wygodnie się usadowić na tylnej ławie. Ruszymy skoro świt na zachód. Okolica ziele pustką, bo ludność podejrzewa tam zasadzki, zastawione pod skałamiż do Adelaide, a pewnym, że nie ma tam żadnych.

Nawet się nie zająknąłem, tylko czym prędzej jąłem spełniać polecane mi zadania.

Tydzień już jechaliśmy w kurzu i znoju. Od przedmieść Adelaide odbiliśmy na północny wschód i po jakimś czasie pozostawiliśmy miasto

daleko na południu, aby dotrzeć na przedmieścia Port Augusta. Tam spodziewaliśmy się odnaleźć naszą cofniętą do głębokiej defensywy armię.

I tak, wieczorem czwartego grudnia roku 1917 napotkaliśmy na zniszczonym, brukowanym szarą kostką trakcie szybko się przemieszczające mechanizmy drogowe, które pilotowali znakomici motorzyści armijni z siedemnastego pułku desantu podziemnego. Bez wątplenia byli to ci, na odnalezieniu których tak bardzo nam zależało. Odetchnąłem z wielką ulgą.

Pojazdy zatrzymały się z przeciągłym sykiem. Niewielkie kotły na biegach neutralnych buchały gęstą parą. Ledwie cokolwiek widziałem na odległości jednego metra. A tu zeskoczyli z siedzeń i przystąpili do nas oficerowie. Trzymając naszą trójkę na muszkach pistoletów, rozpoczęli rozpytywanie. Ordynansi wstępnie nas okrążyli i za pomocą specjalistycznych czujników wykonywali z zapalnym testem na obecność w mówionym języku podejrzanych akcentów. Przywołani następnie medycy dokonywali oględzin twarzy, czy czasem pod skórą nie ukrywa metaliczności dowodzącej istnienia przywdzianej europejskiej maski.

Nic sobie z tych szybkich kontroli nie robiłem. Rozglądałem się. Nareszcie byłem wśród swoich. Spisano szybkie raporty. Wypytano o dane osobowe. Po dwóch kwadransach zainteresował się nami pułkownik Harlan Brawley, postawny, starszy dżentelmen z wielkim siwym wąsem i krótko przyszytą bródką. Przepchnął się do nas przez zgromadzony tłum. Gwałtownie odsuwał zagrażających mu drogę, wychylał głowę i zaglądał ciekawie, jakby znęcony tonami znajomego mu głosu. Wkrótce dopchał się i stanął jak wryty. I tak trzymał dystans, oniemiały i blady, wahając się, co uczynić dalej.

Nosił się nienagannie: polowy mundur zdawał się być dopiero co odszuty, pasy lśniły, otwarta kabura wskazywała na częste użycie broni, a kieszonki spodni z lekka wypychały taktyczne notesy. Po kilku słowach raportu komendanta kontroli podszedł i przywitał się serdecznie, po czym po dosłownie chwili kompletnie nas oczarował, posiadał bowiem tak częsty u najwyższej rangi oficerów urok osobisty.

„Toż to dopiero charyzma!” – pomyślałem. Gość bezwzględnie przypadł mi do gustu.

Wtem lord Duncan rozpoznał imię oficera. Ostro się zaśmiał. Zasalutował. Strzelił obcasami. Łobuzersko się pochylił. Po czym mrugnął

okiem ze dwa razy i w te słowa się odezwał:

– Harlan? Pułkowniku, czy to aby naprawdę pan? – spytał, wciąż nie dowierzając.

– Prędeż padnę od kuli, niż powiem, z kim mam do czynienia – odrzekł Brawley, niepewnie się uśmiechając. Patrzyli na siebie w upartym milczeniu i już byłbym zwątpił, że obaj się znają, gdy nagle wojskowy parsknął radosnym rechotem i z całej siły huknął do przyjaciela: – Niech mnie kule biją! Jego lordowska mość Bizzard! Nigdy bym wielmoży nie rozpoznał po tym mylącym, wielkim wąsisku. Ależ tak, widzę te znakomite rysy, ach, te oczy szarmanckie i przeczący ich wyrazowi szelmowski uśmiech. No oczywiście, że pamiętam. Kampania Indyjska z roku 1881 i owa sławetna kawaleryjska szarża, w której niemal nie straciłem nogi. Coś takiego? Widzę, że uratował pan skórę. Wielu naszym nie udało się wyjść z okrążenia.

– Przynajmniej wszystkim z naszego oddziału.

– Ano prawda. Ale cóż panów sprowadza w tak odludne strony?

– Jak to co? Patriotyczny obowiązek. Zaciągów szukamy.

– A to się dopiero dobrze składa! – ucieszył się Brawley. Obaj serdecznie raz jeszcze się uściskali. Przy okazji przybliżył się pułkownik do lordowskiego ucha i konspiracyjnie szepnął: – A ta para to kto?

– Ci dwoje? Towarzysze największej mojej życiowej awantury. Oficer kawitacyjny Jack de Waay i jego przepiękna narzeczona Abelia.

– Narzeczona? A to szkoda... Bo takiej piękności nadaremno szukać po tej stronie kontynentu. – Oficer wyraził swoją opinię na głos.

– Zawstydz mnie pan – odrzekła dama. Zaraz pan Brawley ucałował jej obie pachnące dłonie, jakby to były kwiaty, a nie ręce. Po czym odsunął się od nas na metr, założył do oka monokl, tak, aby móc mnie objąć wartościującym spojrzeniem, i dorzucił: – Oficer kawitacyjny, hm... – Powtórnie podkreślił wąsa, po czym potrząsnął mą dłonią, nie przestając bacznie się przyglądać. – A to dopiero wartościowy nabytek. Rarytas jak się patrzy! Nie dalej niż kwadrans temu spoglądałam na drogę i myślę, kto zacz? Szpiedzy? Od samochodu do strażnicy dziwnym wędrują krokiem. Pijani? Nie miałem do panów większych obiekcji natury formalnej, z wyjątkiem zastrzeżeń do waszej przedziwnej motoryki, że tak powiem – ociężałości w ruchu. A tutaj taka niespodzianka! Panowie? Doprawdy wciąż nie wychodzę z podziwu.

Tu szybko wytłumaczyliśmy, że motoryka nasza podyktowana jest zmęczeniem. Brawley przyjął komentarz ze zrozumieniem, po czym powtórnie ujął dłoń kobiecą i rzekł:

– Przede wszystkim ze względu na obecność w naszym skromnym męskim gronie osoby płci pięknej pozwólcie, że oficjalnie jej podziękuję. – Tu pokłonił się w stronę Abelii. – Wasza chęć wstąpienia w szeregi armii jego królewskiej mości Jerzego V jest zapewne podyktowana obecnością szlachetnie urodzonej damy. Nie pierwszy to raz kobieta inspiruje męski ród do czynu. Witam taki zaciąg ze szczególną przyjemnością. Brakuje nam nie tylko fachowców, ale i wysokiego morale pośród kadry oficerskiej. Spadacie nam wprost z nieba. Oficer kawitacyjny? Lord? No, no...

– Zaprawdę, żadna to moja zasługa. Oni obaj już tak mają, że honor przekładają nad życie – wyjaśniła Abelia, uroczo się uśmiechając.

Oficer wydał się aż nadto kontent po tych słowach, wypowiedzianych z właściwym damie ciepłem.

– No cóż, przyznam otwarcie, iż stanowić będzie wyborny przykład w obliczu obserwującego nas robotniczego pospólstwa. Cenią oni wielce, że wstępują do wojska osoby szlachetnie urodzone. Wielu obywateli o poślednim honorze ukrywa się bowiem w buszu przed zaciągiem.

Rozmowę zakłócały nieustające warkoty nisko przelatujących dwupłatowców oraz jazgoczące gąsienice przejeżdżających wehikułów, które wybrały sobie tę drogę do taktycznego manewru. W spiekocie popołudnia wzniecony przez nie kurz przymuszał nas do kaszlu, stąd pułkownik zaproponował, aby przenieść się w bardziej odpowiednie miejsce. Wydał szybkie instrukcje kręcącym się ordynansom. Prostym skinieniem nakazał jednemu z zaufanych żołnierzy zaopiekować się naszym automobilem, a sam podążył energicznym krokiem, prowadząc nas w stronę gęstniejącego buszu.

Zadziwieni niepomierne doskonałą organizacją obozowiska, to jest rozległością i strukturą, rozpoczęliśmy z pułkownikiem cichą konwersację.

Wprowadził nas we wszystkie szczegóły.

Okazało się, że wielkie siły ciągnące do Melbourne drogami lądowymi i lotniczymi nie są jedynymi, lecz posiadają swój podziemny, kawitacyjny odpowiednik. Wszystkie one dzierżyły rozpisane po brulionach pisma kodowe, a w nich wytyczony sekretny cel. W czasie starcia należało odciągnąć uwagę wroga od działań armii podziemnej. Ażeby udrożnić

dawno nieużywane przejścia i pozwolić na przegrupowanie, wojskowy moloch potrzebował czasu. Pułkownik tylko napomknął, że szykuje się coś dla wojny przełomowego, coś, o czym tylko w pomieszczeniu zamkniętym mówić można.

Zatem wkroczyliśmy do dobrze oświetlonego namiotu.

– Niesłychane, iż na tak podłej drodze wiejskiej udało nam się napotkać mężów tak sławnych – odszedł nagle od tematu pan Brawley.

Właśnie otrzymał wydruki opisujące w najdrobniejszych szczegółach nasze zawodowe kariery. Od kogo? – zapewne się zainteresuje czytelnik. Otóż inni, najmocniej zaufani pułkownikowi ordynansi, widząc dowódcę tak bezgranicznie przyjacielowi oddanego i porwanego podejrzanym lordowskim czarem, pofatygowali się wyciągnąć z maszynowych kartotek nasze dobrze udokumentowane personalia.

– Dopisać tam należy, że wróciliśmy właśnie z podróży międzyplanetarnej – rzucił nieopacznie rozemocjonowany już lord.

Na te słowa wielu przetarło ze zdumienia binokle.

– Gdzie rozpoczęliście państwo waszą podróż, bo nie wiem, czy właściwie zrozumiałem? – zapytał oficer korespondencyjny, stojący w grupie naprzeciw nas.

Należało wykazać się rozważą. Powiedzieć nie więcej, niż trzeba. Jednak cóż robić, gdy ma się do czynienia z gadułą takim jak lord Duncan? Ja sam, powodowany zazdrością, że to osoba lorda przykuła znaczną uwagę żołnierzy, nie lepiej się zachowywałem.

Stąd zaserwowaliśmy naszym stojącym w półkolu oficerom historię najbardziej nieprawdopodobną, jakiej zapewne w całym swoim życiu nie słyszeli. Nie to, żeby od razu miała nam oficerska kadra uwierzyć, ale pozamykali drzwi przed gapiostwem żołnierskim, zebrali się w skrupulatnie przygotowaną ekipę i nie skrzywili ni razu, tylko z napięciem na czerwonych gębach wsłuchiwali się w każde nasze słowo. Wierzyli w opowieści od początku do końca, co moment notując szczegóły.

– To prawda, co mówicie o podziemiach. – Uznał za stosowne nas poinformować otyły kapitan, co chwilę zaciągający się perfumowanym nowozelandzkim cygarem. – Nasi eksplorujący pieczary wojskowi speleolodzy napotykali w niesłychanych głębokościach nie tylko prajaszczury, ale i nieznane im ani z pisma, ani z mowy ludy, podobne do wielkich podzwrotnikowych żab. Wy, drodzy państwo, mieliście jeszcze,

jak widzę, na głębokościach ziemskich szczęście ogromne kontaktować się z dzikusami naszego ludzkiego pokroju, znającymi języki ludzkie lub mowy telepatyczne. Natomiast, jak wynika z kronik wyprawy Howarda i Paula Hastingsa, oni zmuszeni byli stawić czoła żabim potwornicom płci żeńskiej, które w świecie zwierzęcym postrzegane są jako gwałtowniejsze z charakteru niż ludzka płć męska. Widziałem też zamazane foto-grafy owych istnień. Kropla w kroplę podobne były do opisywanych przez was Gluorów, o których z takim przejęciem opowiadacie – mówił fachura, najwyraźniej parający się z zamiłowania historią podziemną. – W najgłębszych jaskiniach znajdowano ich w zamkniętych akwenach, nie całkiem nadających się z racji obecnych tam rozpuszczonych minerałów do pływania. Nie zdając sobie bynajmniej sprawy ze swojego rzeczywistego miejsca pobytu, to jest Ziemi, traktowali je jak własne podwórko. Zapytani w alfabecie świetlnym o miejsce pochodzenia, z uporem twierdzili, że są u siebie, a mimo to opowiadali o ogromnej, prześwietlającej toń planecie, jakby rozpowiadali o miejscu własnego wyklucia. W latach 1890–1899 napisano na ten temat kilkanaście rozpraw naukowych i aż dziw, że tematów owych z publikacji nie znacie.

– Poddani zostaliśmy w tamtym czasie zaledwie skromnemu wprowadzeniu – wyjaśniłem, co nieco zawstydzony.

– Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. Wszystko w swoim czasie w zakresie edukacji nadrobicie – stwierdził na koniec otyły oficer.

– Z całą szczerością stwierdzę, iż spadacie nam panowie z nieba, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu – znienacka wtrącił się w słowa towarzysza pułkownik Brawley. – Eksplorowaliśmy niektóre potężne wnęki skalne, napotyając budowle z całą pewnością nie wzniesione ręką ludzką – napomknął, poruszony ostatnim fragmentem naszej rozmowy. – Niektórzy, co bardziej strachliwi, radzili nam ich nie ruszać albo co najmniej struktury architektonicznej nie modyfikować. Co trzeźwiejsi przeczyli tym pierwszym i optowali za poglądem, iż konstrukcje te wzniesione zostały jakimiś czarcim sposobem, technikami opartymi o fundament pracy wytresowanego owadziego zespołu. A wtedy takiemu pracującemu z kasty szatana, usiłującemu poddać nas ucywilizowanemu złu podziemnego wszechświata, należało się w imieniu boskim przeciwstawić i struktury przez niego wzniesione zniszczyć aż do stanu nieużyteczności.

– Czy specjaliści wojskowi podejrzewali insekty o taki profesjonalizm? – spytał poirytowany pan Bizzard, bo w hipotezy takie szczerze wątpił.

– Widziałeś pan, co potrafią kreatury owadzie w naturze wytworzyć bez deski projektowej, gumki i ołówka? Oglądałeś pan przekroje miast wzniesionych przez pospolitą mrówkę czy termita? Do czego byłyby takie istoty zdolne, posiadając ludzki rozum?

– Zapewne to tylko domysły, iż one były w milionach wyklute? – prawie zakpił lord.

– I niech tak pozostanie. Strach będzie mniejszy – zgodził się już podenerwowany grubas, na koniec wzruszywszy ramionami. – Jednak gatunki drobnej fauny morskiej, których wedle waszej relacji z takim przejęciem poszukiwała hrabianka Hurstbridge, chociaż wymarłe od milionoleci na powierzchni globu, ciągle w głębinach ziemskich dobrze prosperują, chociaż żadnym sposobem nie powinny już istnieć z uwagi na prymitywizm ewolucyjny.

– Nie ma czegoś takiego jak prymitywizm ewolucyjny, proszę pana – zaprotestowała Abelia.

Szybko spojrzałem na tych dwoje. Czyżby powariowali? Z kim tu mamy się kłócić? Z nic nieznaczącym grubasem?

– Być może są to organizmy standardowo przynoszone prądami Necrolotum – podsunąłem naprędce wykoncypowaną hipotezę. – Stanowią bowiem w konstrukcji tworzywo fundamentalne, że tak powiem, idealnie inicjujące wszelkie idące zeń rozwojowe reperkusje.

Czym prędzej zapragnąłem zażegnać powstający konflikt i spojrzałem na Abelię wymownie. Ale ona za nic w świecie nie mogła mi podarować kapitulanczkiej reakcji.

– Żadna droga genetycznego przystosowania nie może być uznana za prymitywną – zapiekliła się w odpowiedzi. – Pierwszy krok zagarniający daną niszę zawsze jest rewolucyjny.

– A światów do zasiedlenia wciąż w kosmosie przybywa – dorzuciłem dla jasności.

– Co racja, to racja, panie De Waay – przyznał grubas, z uznaniem ustępując damie pola.

– Ale zapewne nie o tym pan szanowny chciał z nami rozmawiać, zapraszając do namiotu. – Śmiałością zaskoczyłem samego siebie. Ale

pragnąłem czym prędzej nakierować rozmowę na bezpieczne tory. – Czyżby to dotyczyło służby kawitacyjnej?

Brawley wymownie rozejrzał się po obecnych, po czym, nie widząc z ich strony wyraźnych obiekcji, dał znak i wprowadził nas w tajemnice wojskowe.

Rozciągnięto przed nami na stołach wielkie mapy morskie. Jakiś kapitan objaśnił je nam z rzadko spotykaną geograficzną wprawą.

– Szlak podziemny to na ogół wijąca się wnęka o przekroju blisko kilometra, nierzadko zwężająca się do średnicy stu metrów. Opada ostro na przestrzeni tysiąca kilometrów w kierunku Basenu Nowokaledońskiego. Idzie do głębokości dwudziestu kilometrów², tam skręca pod filary wyspowe Vanuatu, dalej Tuvalu, wbija się jeszcze głębiej pod Archipelag Bismarcka i rusza wprost pod Guam. W rejonie możecie państwo spodziewać się ostrych przeciągów, bo podziemia przypominają tam szwajcarski ser wrastający na głębokość do stu kilometrów w kierunku jądra planety. Rejonom tym nie bez powodu nadano nazwę „Trickonium”. Dziesiątkami ginęły tam nasze pionierskie kawitacyjne lokomotywy, a o parowych drezynach i licznych ekspedycjach prowadzonych w celu zwiadowczo-badawczym już nie wspomnę. To stamtąd wyciągano truchła przeróżnych okropieństw, o których nie śniło się największym fantantom. Wydobywano skamieniałości na poły ruchliwe, o wadze do stu ton, i żywe skorupiaki, o których z dawien dawna już zapomniano na powierzchni naszej pocziwej planety. – Przesunął wskaźnik ku kolejnym fragmentom mapy. – Dalej nasz docelowy korytarz się rozdwaja, wznosi poziomy i wciska je pod Rów Mariański. Znow lekko się dźwiga, by znaleźć się w pobliżu wulkanicznych wysepek Kazan Retto, i już bez przeszkód kontynuuje przewód podziemny, kierując się pod największe japońskie wyspy. Tam znow się rozdwaja, i podczas gdy gdzieś indziej kończy się ślepą ścianą, gdzie indziej rozbija się dopiero o rosyjski Sachalin.

– Półwysep masz pan na myśli? – upewnił się pan Duncan.

– W rzeczy samej – potwierdził wojskowy. – Ten właśnie.

– I co mielibyśmy zrobić, poprowadzić transporty? – spytał lord.

– Byłoby dobrze móc na was liczyć, panowie – odrzekł na to.

– Nie wiem, czy podołamy zadaniu. Toż to dobre kilkanaście tysięcy kilometrów mierzonych na zmiennych poziomach – odrzekłem patrząc

niepewnie na pana Bizzarda, który już do pomysłu się uśmiechał i palił. Ja sam byłem raczej zawiedziony. Gdzież tu była praca dla kawitologa? Transporty? Każdy zmysłny operator potrafiłby pociągnąć lokomotywę po torze. – A cóż potem? Któż nas będzie w ofensywie mógł wspomóc? A główny korytarz? Któż to budował? Kto wyposażał? Ileż to pracy hutniczej pochłonęło? Czy lawę składowano w sekrecie? Gdzie odprowadzono? Wprost niewiarygodne wydaje się to przedsięwzięcie. Podziemny desant na taką skalę? – Mówiąc, gorączkowałem się, z czego ktoś mnie nieznający mógł wywnioskować, że się pogubił.

Pułkownik Brawley zawisł na nas spojrzeniem pełnym napiętego oczekiwania. Niczego nie wyjaśniał. Czekał. Już się w słowach zebrałem, by grzecznie na ową ciągle jeszcze propozycję odpowiedzieć odmownie, gdy...

– Uczynimy z obecnym tu panem De Waay wszystko, aby przysłużyć się naszej ojczyźnie i jej zwycięstwu nad agresorem – przejął inicjatywę lord Duncan, wpadając w konflikt z linią mej niewypowiedzianej myśli.

Brawley całkowicie zadowolił się taką odpowiedzią. Zignorował moje obiekcje. Poczułem się urażony. Spojrzałem z wyrzutem najpierw na lorda, a potem na moją narzeczoną, która też nie wyglądała na zadowoloną.

– Nie wiem tylko, czy lady Hurstbridge pomyśl wyda się odpowiedni? – wymamrotałem, jakby nieśmiało dając jej do zrozumienia, że dyskurs wcale jeszcze nie jest zakończony i jej przyzwolenie będzie tu konieczne, by zmienić tak ponure plany. Ale pułkownik zupełnie opacznie mnie zrozumiał.

– Otóż to... Dlaczegoż ciągle pani Hurstbridge, a nie lady De Waay? – ofuknął mnie nowy przełożony. Wietrząc podstęp, ujrzałem, jak szelma mruży oczy. – Dlaczegoż to marnotrawić szczęście i co gorsza rezygnować z oficerskich uposażeń w złotych funtach dla tak miłej i pięknej damy?

– Nie są jeszcze połączeni małżeńskim węzłem, jeśli o to chodzi – doniósł z szyderczym tonem lord Bizzard, parszając od razu śmiechem na widok mojej głupiej miny. Wciąż nie rozumiał moich obiekcji względem tak szalonej wyprawy. Wcale widać nie znał się na dennych szynach i stanie technicznym składowanego w jaskiniach sprzętu.

– Ale zapewne jesteście już państwo po słowie? – spytał oficer, nie dając mi dojść do głosu.

– Jeszcze nie – przyznała Abelia, cała w pąsach.

– No to w czym szkopuł? – pytał dalej Brawley. – Rozumiem opory natury formalnej: te wszystkie bankowe adnotacje, przepisy aktów własności, rozliczne konta – ale wokół same ruiny! Banków ostało się jak na lekarstwo, a wszelkie domostwa jeśli nie płoną, to płonąć będą. Rodziców waszych nie ma, to i sprzeciwów żadnych. Zatem po tych wszystkich waszych opowieściach, przygodach, łutach szczęścia i kołach nieszczęścia rezolucja może być tylko jedna... Małżeństwo.

Abelia wciąż stała zakłopotana.

– Czegoś brakuje? Czyż nie towarzyszyła pani ukochanemu w najodleglejszych światach? Czyż nie poświęciła już pani dla niego najlepszych lat życia? Nie przebierała się za okrętowego wycierucha, by mu towarzyszyć w sromotach losu? – interesował się Brawley.

– Zaręczynowego pierścionka – jęknęła dama i westchnęła najciężej, jak potrafiła.

Zaniemówiłem. Zmroziła mnie tym słowem. Pierścione? Ten marny kawałek metalu? Przełknąłem głośno ślinę. Oczyma tylko szukałem ucieczki. Patrzyła w me oczy, a jej spojrzenie było jak dwa sztylety. W całym tym rozgardiaszu zupełnie zapomniałem o naszej chwili na schodach, o moich promesach i słowach honoru, o brzęku ohydny spadającego po stopniach metalu. Chyba zbłądłem pod prężeniem tych wszystkich wpatrujących się we mnie oczu

– Przysięgam wobec Boga i ojców pańienki w Niebie uczynić wszystko, co konieczne, aby połączyć was na drodze ekspresowej węzłem nierozzerwalnym – zapewniał przepychający się przez ciżbę pastor Damian Bor. – Proszę pozwolić się zaprosić do wojskowej, obwoźnej kaplicy, gdzie oboje państwo złożycie stosowną przysięgę. Koszty obrączek i pierścionka zrzucimy na konto armii, a ceremonię odprawię osobiście, to jest bezpłatnie – zarządził. – Pełnię również funkcję doradcy finansowego i z całą odpowiedzialnością gwarantuję, iż w tych wojennych czasach nic lepszego nie można zrobić, jak tylko się upewnić, że resztki kapitałów i dobrego imienia znajdą się pod kuratelą gwarantowaną wspólnym nazwiskiem. Jak to się mówi: co Bóg połączy, niech człowiek tknąć się nie ośmieli – sparafrazował.

– Wolelibyśmy pobrać się w spokojniejszych czasach – wyznała Abelia, teraz już cała pobladła. Opiera się? Co ją ugryzło? – myślałem. Mysł o przeklętych dennych lokomotywach już zupełnie się z mej głowy ulotniła.

Była tylko ona. Stawiała wszystko na jedną kartę. Poczułem, jak oblewają mi się zimnym potem dłonie, potem zrasza się czoło i plecy.

– Każdy by wołał, moja droga pani – odniósł się pułkownik już nieco rozdrażnionym głosem. – Widzicie państwo, jaka wynikła sytuacja. Nic tu nie poradzimy na zło wyrządzone przez innych. Trzeba na nowo układać sobie życie. A z tego, co mi pani łaskawie wspomniała, wynika, iż rozległy majątek pani rodziców i wujostwa leży w rozsypce. Rodzice i krewni nie żyją. Fabryki Hurstbridgów leżą w ruinie. Robotników wymordowano, a rozliczne konta bankowe rozgrabiono do cna. A zanim czasy się uspokoją i dotrze pani do tytularnych resztek i wypłat z ubezpieczeń, miną lata. Z czego pani szanowna pragnie wyżyć? – mówił, a widząc, że opór w niej słabnie, kontynuował: – Pozostają dla osoby tak szlachetnej dwie opcje. Zważywszy na wysokie urodzenie, możesz pani wstąpić do służby szpitalnej, czego czynić nie radzę, lub bezzwłocznie zgodzić się na zamążpójście, co popieram. Lepiej, jeśli oddałaby pani wdzięki oficerowi, bo czekać będzie na panią pierwszego każdego miesiąca okrągła sumka dwustu funtów w złocie z tytułu wojennej renty małżeńskiej.

– Pragnie mnie pan przekupić i zmusić, abym drania poślubiła, a następnie oddała go do użytku z dala ode mnie, do służby w szeregach armijnych? – zaśmiała się z oczywistego podstępu Abelia.

– Drania? – spytałem już rozeźlony.

– No jeszcze mnie nikt tu za krzywdę nie przeprosił...

– A pewnie! Niech szelma i bohater podmorskiej żeglugi nie zwleka, tylko panienkę hrabiankę zaraz za winy męskie przeprosi i bierze za żonę. Już widzę, jak mu się w oku skry do pani wdzięków palą. Znam ja się na ludziach. W armii też widzę dla niego powołanie. Taki na męża będzie idealny. Pokazałem mu, ot tam, na manewrowych mapach, zaledwie ćwierci podziemnych przekrojów, a on natychmiast stanął na palcach, by ujrzyć resztę. Widać zna się na tym i wie, że te części wykresów wojskowych są warte prawie tyle co łupy, skrzętnie podczas trwania pokoju przed ogółem oficerstwa kawitacyjnego ukryte.

Lord Duncan z zazdrości o tę opinię aż podkręcił wąsa.

– Powiem tak: tylko pod jednym warunkiem przystanę na to – zaparła się panna.

Pułkownik przyjrzał jej się z uwagą, wietrząc jakiś nieprzyjemny wybryk.

– A jaki to warunek postawi pani armii?

Wejrzała hardo.

– A taki, że w tym niespokojnym czasie sama znajdę w armii zatrudnienie. Zabierzecie mnie panowie ze sobą na podziemną wyprawę – mówiła z zapalem. – Przyda wam się tam moje doświadczenie geologiczne, a już o podwodnym nie wspomnę.

Gruchnęliśmy męskim śmiechem, co speszyło Abelię na tyle, iż cofnęła się o krok i spuściła oczy, aż zrobiło mi się żal.

– Nie śmiem się damie przeciwstawić – odrzekł wojskowy. – Niech pomyślę... Nie przeczę wcale, żeście zgrana para, bo widzę, coście wspólnie państwo przeszli i jakie przygody was na przekór losowi hartowały. Ani myślę takiego kompletu się pozbywać. Dobrze, zgadzam się, ale ja też ulegnę pod jednym warunkiem...

– Jakim?

– A takim, że wykorzystamy pani siły z umiarem i respektem należnym damie.

– Dobrze więc... – wreszcie się zgodziła.

– Wobec tego za tydzień, po skromnym weselu, wspólnie ruszymy w podziemne ostępy.

KSIĘGA PIERWSZA

SUBTERRANIUM³

1

Wkrótce odbyła się ograniczona do ściśle wąskiego grona uroczystość zaślubin, a...

W niespełna miesiąc później dokonaliśmy zmasowanego ataku na przedmieścia Melbourne. Wróg nie spostrzegł naszych doskonale zamaskowanych strategicznych wybiegów. Na powierzchni udaliśmy sromotną klęskę, aby w chaosie ucieczki przeniknąć z dziesiątką tysięcy doskonale wyszkolonych piechurów w sztolnie przykryte pancernymi pokrywami. Japońskie dowództwo z satysfakcją przywitało załamanie kolejnej ofensywy. Nikt nie spostrzegł brakującej kadry w wycofujących się armiach, liczących ogółem blisko dwieście tysięcy żołnierzy. Nie zauważono nawet zniknięcia ton zdezelowanego sprzętu. Sam byłem zaskoczony. Chociaż w trakcie mojej długiej wojskowej kariery przemierzyłem wszelkie militarne jaskinie wzdłuż i wszerz, ta w pobliżu mego rodzinnego miasta pozostawała zupełnie nieznaną i tajemniczą. Panował tu wzorowy ład i porządek. Całość sprawiała wrażenie dobrze zagospodarowanej, obszernej i doskonale oświetlonej piwnicy, która mogła się po prostu ciągnąć bez końca, a nawet prowadzić do punktów po przeciwnej stronie kuli ziemskiej.

– Myślałem o znacznie większej przewadze na powierzchni. Z powodzeniem winniśmy się byli rozprawić z tymi siłami i zepchnąć je do morza, a nie dezertować w podziemne mroki, by próbować zaskoczyć wroga niespodziewanym atakiem w jego własnym kraju – zwierzyłem się w wolnej chwili panu Bizzardowi, kiedyśmy jeszcze w naszym skromnym, mieszanym towarzystwie damsko-męskim podróżowali pieszo w głąb tuneli. Ten uśmiechnął się tajemniczo i odrzekł:

– Ja sam rozpatrywałem takowe strategie. Jednak pozwoli pan sobie przyznać, iż zgrupowano w podziemiach niezłą potęgę. Wiedzą nasi generałowie doskonale, że umocnienia na falochronach wschodniego wybrzeża kontynentu australijskiego zostały rozbite i lada chwila obrona na Filipinach też pęknie, a wtedy miliony zaangażowanych tam żołnierzy rzucą się na nasz ląd jak głodne wilki. Rozsądnym jest dokonać przeprawy

podziemnej i dopóki nikt się jej jeszcze nie spodziewa, uderzyć w osłabione filary japońskich wysp. To sprawa pierwszorzędna.

Dotarliśmy do stanowisk peronowych. Nasz przewodnik i towarzysz ruszył po odebraniu pisemnych rozkazów, pozostawiając nas samym sobie. Miałem teraz z Abelią czas na szczegółową obserwację otoczenia.

Ze zdumieniem spostrzegłem zgromadzone pod ziemią liczne oddziały jeszcze innego karnie ustawionego wojska. Byli tu i Brytyjczycy, i Nowozelandczycy, i czarni jak smoła Samoańczycy. Wszyscy czekali na ostateczne rozkazy.

Wtem wraz z lordem nadszedł pułkownik Brawley. Skinął na nas i poprowadził do bardziej konkretnego wejścia dworcowego. Przelotnym spojrzeniem przebiegłem po korpusach stojących maszyn. Przyznam, że widok ten powstrzymał oddech w mej piersi.

– Niesamowita potęga. Czy ktoś z zewnątrz posiada w tym rozeznanie? – głośno zastanawiał się pan Bizzard, stając zaraz z boku.

– Nigdy nie ufaliśmy nikomu. Nawet nasz najbliższy partner strategiczny, jakim jest Brytyjska Korona, tak zazdroszcząca Koronie Australijskiej jej potęgi oceanicznej, nie została w pełni do sekretów kawitacyjnych dopuszczona. Każdy szpieg, który z tą wiedzą uciekł i próbował ją zużytkować, już gryzie ziemię. Stoją tu na państwa widoku największe i najnowsze lokomotywy parowe. Dysponują technologią, jakiej nie poznał jeszcze świat.

– Dokąd wiodą tory?

– Prawdę powiedziawszy, to nikt tego nie wie. Obecnie zatrudnione oddziały służby kawitacyjnej ryją głównie pod wyspą Shikoku. Cała masa lądowa wsparta jest tam obecnie na kratownicach i potężnych filarach skalnych, ledwo utrzymujących ciężar własny lądu. Ryzykujemy sporo, bo to obszar aktywny sejsmicznie i lada wstrząs spowodować może przedwczesną katastrofę, a zatem i straty w naszych kadrach. Kawitacyjne parownice w nieustającej pracy zamieniają tam wciąż nowe pokłady skalne na strumienie magmy. Surowiec i lawa już nie mieszczą się w przeznaczonych do tego celu sztolniach odprowadzających. Trzeba kopać nowe tunele. Potrzebowalibyśmy setki ludzi, by nadgonić plany. Spodziewam się, że pod przewodnictwem pana de Waaya tuzin wytrawnych inżynierów zakończy pracę w kilka dni.

– Jaką pracę konkretnie?

– Chodzi o dokonanie finalnego rozcięcia zebra górskiego. Przełamanie lądowej płyty wyniknie wówczas samo z siebie. Wszystko w konkretnym, wybranym przez pana momencie zsypie się do oceanu i pociągnie ze sobą całe miasto.

– A więc nie jestem tu potrzebny wyłącznie jako maszynista w przeprawie podmorskiej? – spytałem, czując, jak nagle spada mi ogromny ciężar z serca. Pułkownik tylko się uśmiechnął i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z lordem.

– Może i każdy oficer sztabowy mógłby pokierować podobnymi pracami. Jednak ja lubię mieć pewność – dalej przekonywał Brawley. Kanały spływowe są poważnie pozatykane. Potrzebujemy tam ludzi rozumnych i doświadczonych. Szczególnie takich, którzy, jak pan, dysponują pewnymi mentalnymi mocami.

– Czyli bierze pan pod uwagę również mój hipotetyczny talent podwodny?

– Oczywiście, choć nie tylko. Co do niego musiałbym się wpięrw przekonać. Polegam tutaj wyłącznie na słowie lorda. Ale że dokonywania cudów z kontrolowanym przemieszczeniem ośrodka materialnego u nikogo dotąd jeszcze nie zaobserwowałem, trochę wątpię. Nie przydzielam panu jeszcze zadań konkretnych. Tymczasem znajdzie pan zajęcie na lokomotywach. Nowości technicznych mamy tam w bród. Jest też niezbędne tej aparaturze ponowne skalibrowanie. Ufam, że w mig pan sobie z tym poradzi – zapewniał Brawley. – Tymczasem zaprowadzę was na kwatery. Maszyny będą miały rozruch dopiero jutro. Myślę, że będziecie zadowoleni. Zaopatrzyłem wasze łazienki w odpowiednie wanny mineralne. Konieczne będą nowe mineralne namoczenia. Zastosowałem składniki ze znanej wam pra-hinduskiej wedy. Kto wie, czy na powrót nie potrzebujecie zainstalowanych w waszych ciałach podmorskich potencji?

– Niekoniecznie spodziewaliśmy się luksusów. W każdym razie dziękujemy za troskę. Rzeczywiście bezpieczniej się poczujemy – odrzekłem w imieniu moim i milczącej Abelii. Byłem naprawdę zadowolony z takiego obrotu sprawy. Zadanie militarne wydawało się wprost wymarzoną, by zasłynąć męstwem i doświadczeniem. Poczułem się ponad miarę wyróżnionym. Z wdzięcznością uśmiechnąłem się do obserwujących mnie mężczyzn.

– Mamy podstawy, aby przypuszczać, że na głębokościach dochodzących niemalże do granic płyt kontynentalnych skład chemiczny wody ulega drastycznej zmianie. Wielu teoretyków przypuszcza, iż tam właśnie ukrył się dodatkowy ocean ziemski, ciągnący swe włości aż w pobliże jądra ziemi. Tam bezwzględnie się obaj przydadacie. Tylko przyszła matka w kwaterach pozostanie – zdecydował pułkownik. Tak, dla mnie to też było zaskoczeniem. I nie pomyli się czytelnik, sądząc, że niedawne humory Abellii spowodowane były jej stanem brzemiennym. Te marudzenia o przeprosinach, wieczne wymówki i wspomnienia zaręczynowego pierścionka; wszystko to miało swoje źródło w uciążliwych symptomach wzrostu maleńkiego, dojrzewającego szybko potomka. Strasznie dumny byłem z faktu bycia przyszłym ojcem i z troską myślałem o przyszłej matce.

Dlatego pomimo jej sprzeciwów zgodziłem się z przedmówcą, aby bezwzględnie utrzymać ją z dala od wszelkich niedogodności i trudów. Normalnie dostałaby szału, lecz stan jej zdrowia wyraźnie podupadł i osłabiona nie stawiała oporu.

Pożegnaliśmy się czule dwa dni później, kiedy to stanąłem naprzeciw najpotężniejszej lokomotywy, jaką ujrzałem w życiu. Sycząca i buchająca parą maszyna czyniła nas w swojej perspektywie maleństwami bez znaczenia. Żona nie zwlekała, mocno wzburzona natychmiast odeszła.

Wtedy bodaj wszechobecny pułkownik zaszedł mnie od tyłu i poklepał serdecznie po ramieniu.

– Widzę, że podziwia pan machinerion naszego melbourniańskiego konstruktora Georga Lussaca! – przekrzyczał maszynowy tumult, śmiejąc się rubaszenie.

– Raczej, sądząc po zaworach, to późny Brescot! – tonem znawcy rozsądził podchodzący lord Duncan.

– Lussac, Lussac z całą pewnością! Słyszysz pan rytm tężejącego ciśnienia i upust?! Toż to muzyka! Nie, jak u Brescota, rzępolenie – upierał się pułkownik.

Zamyśliliśmy się obaj z lordem nad szybkością cywilizacyjnego postępu. Jeszcze nie dalej jak wczoraj nikt nie myślał o podziemnych ekspresach, a dzisiaj widok pojazdów pędzących z prędkością dziesiątek mil na godzinę nie obrażał myśli. Tory mogły wytrzymać dziesięć razy tyle, takie zastosowano stopy wsparcia. Mogły transportować ludzi w milionowych

rzyszach, jednocześnie przenosząc ich dobytek czy cenne rudy bezpośrednio pomiędzy kontynentami.

– Pora na nas – stwierdziłem, trochę z uczuciem rozterki, a trochę z obawy. Oto po latach znów pozostawiałem za sobą mą lubą w potrzebie i nie bacząc na okoliczności, wdawałem się w przygodę, która tragiczny mogła mieć finał. Jak zwykle obarczałem odpowiedzialnością nie siebie, a przekorny los, ale kto jak nie ja znów był winny całemu zamieszaniu?

Pobiegliśmy z lordem każdy do swojej lokomotywy, wrzeszcząc na kotłowych już z daleka, ganiąc ich za opieszałość, rugając za niewłaściwe podsypywanie węgla i odliczając głośno do zera, jakbyśmy szykowali się do wyścigów.

Z niejakim wahaniem zasiadłem na siedzisku głównego maszynisty, bo pomiędzy oficerami mapowymi ujrzałem znów naszego pułkownika, dość wystraszonego i zadyszanego od wysiłku. Zapewne podążał cały ten czas krok w krok za mną i pokonał długą wejściową drabinę z przeciwległej strony lokomotywy, czego w zabieganiu nie zauważyłem. Zatem z wielkim biciem serca pochwyciłem gałki przyrządów, z namaszczeniem wszelkie ciągną popuściłem.

Poszły w ruch chorągiewki. Gwizdki oznajmiły oddanie pierwszej uruchamiającej mechanizm napędowy pary. Moi wspomagający motorzyści, usadzeni od czwartej do ostatniej belki sterowniczej, uruchomili hydrauliczne sprężarki. Huknęły tłoki i raz po raz zaczęły przebierać koła. Hałas się jeszcze spotęgował w ciasnym, wpuszczającym w siebie tory, wstępnym tunelu. Machina, choć nieporadnie wyglądająca i ciężka, puściła się w szalony bieg.

Poszły iskry z szyny, kiedy runęliśmy ostro w dół pod same oceaniczne rowy.

Natychmiast ogarnęły nas mroki i niezwykle, wilgotny chłód. Zapaliły się pokładowe mineralne lampy. Rzuciły na wszystkich obecnych w lokomotywie drżącą poświatę, dzięki czemu mogłem obserwować przerażone, białe z braku krwi twarze, a w nich wytrzeszczone oczy, podobne do szklistych, nieruchomych czarnych opali. Budził się w nich strach.

Pojazd bowiem dosłownie leciał w dół, po niemal pionowo idącej szynie. Stężenie hałasu drastycznie zmalało, jakbyśmy z nagłą odroczyli cały ten idący z nami huk tłoków na później. Widok przed nami się wyklarował.

Docierał do uszu regularny klekot, ale nic to było w porównaniu z poprzednio produkowaną mechaniczną wrzawą. Spadaliśmy, a ja jeszcze podkręcałem na przyspieszaczu.

– Nie obawiasz się pan urwania szyny? – krzyknął przerażony Brawley.

– Ten jej rodzaj jest najmocniejszy, jaki znam. Przy wejściu do granicy litosferycznej tor musi się wygładzić i łagodnie przejść w niemal poziomy. Tam szybkość osiągniemy doprawdy spektakularną.

– Ale czy jest to bezpieczne?

– Nigdy nie jest bezpieczne, ale zwolnienie w tych okolicznościach może być katastrofalne, a ja wciąż chcę powrócić do żony i ujrzeć przyszlą minę dziecka.

– A zderzenie z lustrem wody, czy nie wchodzi w rachubę?

– Już ruszyły wydmuchy frontowe z załączonych poduszek kawitologicznych. Na odległości stu metrów zamienią one każdą kroplę w przewiewną parę – mruknąłem z niezadowoleniem, bo mnie oficer już irytował i wiecznym głędzeniem rozpraszał.

Brawley jakby się zorientował w moich intencjach, bo zamilkł na dobre kilka chwil. Pozwolił mi odetchnąć i rozkoszować się monotonią podróży. Jednak wkrótce zrobiło mi się go żal i sam wysiliłem się na słowne zaczepki.

– Dokąd to całe torowisko prowadzi? Nigdy słowa o nim nie usłyszałem.

– Widzi pan, to tajemnica jest wojskowa. Nikt na dobrą sprawę nie wie. Dochodzi jeszcze kwestia potężnych wnęk skalnych. Mnóstwo tam sztolni o kawitacji rozciągniętej na setki i tysiące kilometrów, przechodzących pod dnem oceanicznym na głębokości pięćdziesięciu kilometrów.

– Ot, natura.

– Wprost przeciwnie. Struktury wzniesiono na sprytnym planie połączonych hangarów. Niewiadomym jest tylko, co tam trzymano i kim byli budowniczowie.

– Czytałem gdzieś, że poddano znalezione narzędzia naukowej ekspertyzie – odezwał się nieśmiało lord. – Podobnie z jakichś radiologicznych analiz wynikało, iż są bardzo wiekowe. – Brawley spojrzał na pana Duncana spod przymrużonych powiek. – Słyszałem o dwunastu milionach lat datowania wstecznego. Nie byli to bynajmniej znani nam troglodyci, a lud ogorzały w jądrze ziemskim i podejrzewany przez naukowe komitety o wydalenie smoły wszelakiej i zanieczyszczeń wprost

z uprzemysłowionego jądra do atmosfery. Dym waliłby niekontrolowany z szeroko otwartych wulkanicznych kominów.

– A tak, znam sprawę... Mówi pan o żużrach Pierleya i Goulsa. Byłyby owe istoty ze szkiców podobne do kornika, który w sposób żarłoczny pochłania planetarne zasoby. Może w czasach pokojowych nadarzy się nam okazja rozwikłać zagadkę tej kultury?

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Starczyło nam na dzisiaj bajek.

2

Dopiero po dobie jazdy najgłębszej, przerywanej licznymi przestojami z powodów natury technicznej i podwodnej, udało nam się ujrzeć zmianę w otaczającej nas scenerii. Dostrzegałem nieskończone żleby lawowe, okraszone najwspanialszą luminescencyjną pianą mineralną. Odblask od niej bił i w rozświetleniu nie miał sobie równych. Podoceaniczny dzień panował tu imponujący. Niby z miliardów iskier wydobywała się owa przydenna jutrznia i w podobnym do bardzo odległego grzmotu pomruku przepełniała nie tylko otoczenie, ale i serca śmiazków zdolnych przeniknąć te zakazane ziemskie odměty. Kolosalne strumienie roztopionej skały musiały sobie ongiś tutaj torować drogę do poziomów najniżej położonych, najpodobniej ukorzenionych w czeluściach planety, skąd wynikły owe radiacje podgrzania i wstrząsów.

Po następnych godzinach wyczerpującej pracy wdarliśmy się w wielokilometrowy podjazd. Po jaskrawym dniu mineralnych luminescencji mrok kontrastujący wydał się nam jeszcze bardziej ponury i groźny. I znów tunel, i kolejny wąski podskalny przesmyk wędrujący to ponad, to pod. Przez systemy wielkich korytarzy czołgała się nasza lokomotywa, ciągnąc blaszane wagoniki. Niebawem wniknęliśmy w nową, tym razem wypełnioną nieprzeniknioną ciemnością czeluść. Parowozowe reflektory, skupione na maksymalnym wydatkowaniu światła, zaledwie potrafiły musnąć i cokolwiek rozjaśnić w najdalszej głębi. Zarysy wrębów przeciwległej ściany, też upstrzonej wiązadłami kolejowymi, wydały nam się odległe i maleńkie niby zabawki. Nie zauważyłem ani śladu spodziewanego podtopienia. Gdzież był ten ocean? Aż tak wysoko ułożył się ponad nami? Czyżby zatem Brawley nas okłamał? Czyżby pragnął nas zatrudnić z całkowicie innych przyczyn? Odłożyłem te wątpliwości na później, bo ukształtowanie terenu uległo dramatycznej zmianie.

Gdybyśmy mówili o działalności naturalnej, nie omieszkałbym tych masywnych komór nazwać świadectwem potwornej katastrofy, która onegdaj rozrzedziła masy lądowe i w postaci najgorętszych prądów wysłała je w miliardach ton pod najdalsze ziemskie skorupy, powodując ruchy całych

kontynentów. Zderzała je gdzieś tam w chaosie sedymentacji i powodowała, iż w dynamizmie własnym potrafiły wynosić najpotężniejsze góry. Nadawała im oczywisty status monumentalnych sił przyrody. Bynajmniej mnie to nie zachwycało, raczej straszło wizją przyszłości niewiarygodnie zabójczej dla wszelkiego życia.

Spoglądałem na dzieło ludzkie z nostalgią. Mieliśmy bowiem do czynienia z potężną, działającą w nieposkromionym rozmachu, rozumną rasą ludzką. Armia, której byłem dumnym oficerem, całkowicie kontrolowała owe mocarne strony natury, powściągała, przykracała i zawracała na już wiadome kursy wynikłe z teorii naukowej i matematycznych równań.

Około wczesnego naziemnego południa dnia następnego dotarliśmy pod przypuszczalny zarys głównej japońskiej wyspy. Napotkaliśmy świeżo wzniesioną masywną ścianę, odgradzającą dalej biegnący starożytny korytarz o przekroju kilometra, a w nim żeliwne zawory i bramy o niespotykanej szczelności. Wszystko to przygotowane na wypadek zajęcia przeciwległej strony przez wody rozwścieżonego oceanu. Krzątali się tu jeszcze ludzie z poprzedniej ekipy, którym Brawley nakazał dokładne zebranie pozostawionych narzędzi i natychmiastową ewakuację. Byli niemrawi. Fachowcy pochodzenia pakistańskiego marudzili i narzekali na warunki, w jakich przyszło im pracować.

Nadszedł czas na otwarcie podanej mi przez Brawleya przedtem zalakowanej, a teraz otwartej koperty z rozkazami Głównego Dowództwa. Prędko przebiegłem pismo wzrokiem. A więc było tu coś dla mnie; z finezją poprowadzona linia kawitacyjnych operacji zaczepnych.

Miałem wraz z towarzyszącymi mi oficerami pilne zadanie do spełnienia. Otóż na obszarze kwadratu o bokach około siedemdziesięciu kilometrów znajdowało się czternaście potężnych filarów podtrzymujących strop skalny. Jego grubość podlegała znacznym wahaniom: od dwóch i pół tysiąca metrów w okolicy górskiego zebra do siedmiuset metrów w rejonie przybrzeżnym. Jak wynikało z moich przeprowadzonych na szybko analiz, zniszczenie tych podpór ciągle nie gwarantowało całkowitej zapaści leżącego ponad nimi lądu. Należało wykryć i zidentyfikować główne ciągi skalne w samym stropie i zaaplikować samotopliwą instalację. Czas nas gonił. Nie pozostawało nic innego, jak tylko uśmiechnąć się do zgromadzonych na stronie pak horgłomitu.

Rozkazałem zatem szybkie, drobiazgowe rozpoznanie wszelkich dziur. Zrobiłem wstępny rysunek rozmieszczenia ładunków i wcieliłem te plany w życie.

Minęły kolejne dni. Mieliśmy już pewność, że ostateczne zniszczenie głównych przęseł spowoduje złamanie górskiego kręgosłupa, a on sam pod wpływem ciężaru skrajnie naprężonej struktury lądowej pociągnie za sobą połączenie lądu aż po najdalszy fundament wyspy Shikoku. Osuwisko najpewniej będzie mogło spowodować powstanie potężnej fali tsunami, niszczącej nie tylko ludzkie osiedla w promieniu setek kilometrów, ale również wrogą flotę stacjonującą na Morzu Wewnętrznym.

Ale jeszcze zanim to nastąpiło, wydarzyło się coś, co mogło skutecznie pokrzyżować nasze z takim trudem układane plany.

Otóż drużyny inżynieryjne natrafiły na niepokojącą aktywność w bliżej nieznanym z map wykopie na północnych rubieżach wytopionego żlebu. Czyżby wróg dotarł do naszych szybów od powierzchni?

Musieliśmy się śpieszyć.

Nasz atak powinien stanowić cios ostateczny, od którego imperium miało się zachwiać, a może nawet rozsypać, i już nigdy w stanie zagrażającym istnieniu całych narodów się nie podnieść.

Pułkownik Brawley, widząc, co się święci, sam osądził, że warto rozpocząć natychmiastową ewakuację. Zamykano na gwałt grodzie i wszelkie śluzy. Najpewniej gotowano się na zalanie, bo marynarze biegali w podwodnych hełmach z wystającymi oxegeneratorami.

We trójkę pobiegliśmy do przygotowanego wcześniej descendera. Oczekiwało nas w nim dwóch sprawnych operatorów. Podczas gdy cała reszta umykała w stronę śluz, my ruszyliśmy z potwornym warkotem w kierunku przeciwnym, ku jednemu z najbliższych szybów.

Pilotujący maszynę poszedł na ostro w potężne, ziejące już ciemnością sztolnie. Tylko jeszcze w paru punktach pozostawiono podgrzewany fuzjami kawitacyjnymi tak zwany spływ piroklastyczny, to jest płynną lawę z żużlem. Szedł od niej po pustych ścianach poblask straszny, a nas dusił siarkowy odór. Ciągnął się w głębiny wraz z tajemnym blaskiem z lekka rozrzedzonej mgły i czerwieniał we wszystkich wspomnianych krawędziach skały, rzucając marny poblask w całkowite mroki. Descender na chwilę rozpałił reflektor. Snop przenikliwego światła poszedł ostro na stromy grzbiet po lewej, połączył się ze sklepieniem, potem ześliznął się w dół

ku wspomnianym, widzianym przez lunetników, wydeptanym świeżym ścieżkom. Tam utknął na otworach górniczych pieczar. Najwidoczniej nie dalej niż godzinę temu ktoś tam był i stamtąd nas obserwował. Potem ukrył się w korytarzu zmierzającym ku szybom. I tamtędy podążyliśmy.

Wlecieliśmy z wielkim impetem w jeden z ogromnych korytarzy. Poczułem na twarzy wznagający się podmuch. Czyżby dotknął nas świeży przeciąg? Ktoś roztworzył tam grodzie wiodące aż do powierzchni? Zwężała się niebawem ostro nasza sztolnia, przechodząc w chodnik kopalniany wygodny może dla kombajnu, ale nie dla descendera, tak że operator z trudem dawał sobie radę z precyzyjnym sterowaniem. Ocierał się o ściany, przeklinał, aż echo grzmiało. Rwał skałę bokami tak, że od krawędzi sypały się na nas iskry. Dusiły nas spaliny i hałas dopadał z chwili na chwilę gorszy. Jednak wciąż wspinaliśmy się ku powierzchni pod coraz bardziej ostrym kątem. Już czterysta metrów pozostało, już dwieście i sto pięćdziesiąt...

I już mieliśmy ich na muszkach karabinów.

Gdy nas oddział około dwudziestu Japońców ujrzał, żołnierze wydali okropny wrzask, jaki u Azjatów może być sygnałem zdziwienia bądź grozy czy nawet wyrazem zwierzęcej trwogi. Jaka by nie była nasza interpretacja jego początkowych tonów, ryk ów szybko stał się dosłownym wyrażeniem eksplodującego gniewu. Japońcy bowiem, strasznie będąc honorowymi w kwestiach własnej ziemi i kraju, palili się do zemsty. Widać fakt podkopania przez nas terenu pod miastem o populacji dwudziestomilionowej doprowadził ich do szału. Jeszcze widząc nas, białych, w świetle mineralnych świateł, rozbiegli się po zaułkach, rażąc nas nieprzerwanym ogniem kopalnianych sztucerów. Nam zależało głównie, aby żaden z nich nie zdołał się z pułapki wymknąć na powierzchnię. Sami, ryzykując zdrowiem i życiem, przemknęliśmy im nisko ponad głowami i niemal rozbijając aparat descendera pomiędzy wąskimi ścianami, wylądowaliśmy na kawałku spoziomowanej ziemi. Tym sposobem zablokowaliśmy im powrót na powierzchnię. Musieliby się ewakuować dosłownie po naszych trupach.

Zaraz z panem Bizzardem wyskoczyliśmy na twarde, gliniaste podłoże, wspomagając się na przemian ostrzałem, i zamocowaliśmy na lufach bagnety. Osobiście wątpiłem w konieczność zabicia gagatków, jednak pułkownik na gwałt chciał ich uśmiercić, a potem pośpiesznie powrócić

do wnętrza, by jeszcze zdążyć przed oberwaniem stropów i zatopieniem. Popędzał wszystkich, ryzykując najwięcej.

Spojrzałem na lorda. Ten ani się kwapił nadstawiać karku. Niesforne rolguły bzykały wokół niby roznoszące śmierć owady i obrywały ściany, jakby zagryzały skałę przed głównym daniem złożonym z żołnierskich torsów. Żadną miarą nie udałoby nam się bez rany dopaść wroga.

Była też w zachowaniu pana Duncana metoda. Nierzadko stawał w podobnych opałach i doświadczenie podyktowało mu cierpliwość. Mój rozsądek rozkazywał mi trzymać się za wszelką cenę blisko niego, chociaż pozostawiając pułkownika Brawleya samego w opałach, obaj ryzykowaliśmy sąd wojenny.

Oficer, tak bardzo ofiarny, nawet nie zauważył naszej absencji. Miał obok siebie dwóch innych żołnierzy. A poza tym walka rozgorzała tak gwałtowna, że nie było nawet czasu zastanawiać się nad składem osobowym. Japońcy w końcu natarli i na nas. Zbiłem szybkie ciosy bagnietowe i raniłem młodego śmiałka w twardego tors. Widać było, że nie ma doświadczenia, bo popełniał kolejne błędy. Wtedy drugi, starszy, się napatoczył. Zamiast bagnietem, razilem go całym balastem wystrzelonego w twarz pocisku. Wróciłem do młodziana, ale ten padł już od ciosu nieżałującego ostrza lorda i dygotał w agonii.

Wtem ziemia pod nogami nam się poruszyła, zatrzęsły się w posadach ściany, poleciały ze sklepienia głązy i zestrzały kurz poszedł ze szczelin. Przyszedł od podziemnych pustostanów powiew przewracający ludzi, poniósł się grzmot straszliwy, a że nie miał końca, kompletnie nas na długie minuty oszołomił. Wdzierająca się zewsząd morska woda na chwilę nas z lordem rozdzieliła. Wpierw uderzyła słona piana. Potem prąd zimny i ołowiane masy wodne sprasowały nas ciśnieniem. Zdusiły nasze krzyki i na moment zniosły myśl o przerażeniu. Próbowałem zdobywać hausty powietrza w wolnych od powodzi załomach i tak, niesiony przez wiry, uderzyłem głową o ścianę. Poczułem krew w ustach i miałem omdleć od bólu – oprzytomniałem. Przecież nie musiałem walczyć o powietrze. Działające już minerały z ostatnich wedyjskich kąpielí uaktywniły dawne pory oddechowe, a pod nimi jeszcze ciągle czynne skrzela. Spojrzałem na zmałowane, czarne teraz od drobin skalnych głębiny. Gdzieś tam opadały bezwładne, pozbawione życia ciała, gdzieś tam walczył tonący pułkownik.

Nie tracąc czasu, porwałem dwóch topiących się żołnierzy i poniosłem w silnych odepchnięciach nóg ku powietrznym komorom gdzieś powyżej. Nie ustawałem w ratowaniu, aż lord, widząc moje zaangażowanie, wzruszył się i dzielnie mi sekundował. Pośród ocalonych znalazło się dwóch młodych Japońców, co wynikało raczej z mojej życzliwości niż z ratowniczej zapamiętałości.

Pułkownik, ledwo doszedł do przytomności, zaraz mnie do siebie przywołał skinieniem ręki. Samodzielnie usiadł po tym niemalże utopieniu. Twarz mu mocno posiniała, a usta, pokryte zaschlą krwią, zeszywniały. Leżał na barłogu z mundurów i mokrych kurtek, który mu posłali dwaj ocalali wierni żołnierze.

– Panie hrabio – wyszeptał. Słabo rozpoznałem jego rysy w świetle mineralnym i wydawała mi się ta twarz w półmroku naznaczona śmiertelnym cierpieniem. – Wiadomym jest, że imperialni szpiedzy nie poprzestaną na śledztwie tylko w podziemiach kopalni. Oddziały nurkowe szybko odnajdą nasz pozostawiony w dole sprzęt.

– Przecież wszystko dobro kawitacyjne rozkazał pan odnieść i zabezpieczyć w wagonach samobieżnych poza odgradzającą nas od starożytnych labiryntów ścianą. Nieważna reszta na zawsze utkwiała pod rumowiskiem. Myśli pan, że nam się udało? – spytałem z niepokojem, bojąc się o zaniedbania.

– Jak najbardziej tak. Widzi pan, jakimś cudem woda się aż tu wdarła, a więc muszą być drożne nieznane nam kanały. Stąd wynika moja obawa. Jest pewne urządzenie, którego pryncypiów nasz wróg nie może poznać w żadnych szczegółach. Tkwi nieopodal porzucone.

– Mówisz pan o naszym świetnym descenderze?

– Otóż właśnie. Naród japoński, tak dobrze znany z roztrząsania i rozstrzygania problemów natury technicznej, szybko dojdzie do właściwych konkluzji. Nie chciałbym ujrzeć pojazdów antygravitacyjnych bombardujących za lat kilkanaście miły nam łąd ojczysty.

– To prawda, szelmy z nich utalentowane – przyznał lord Bizzard, ustawiając się z boku siedzącego.

– Stąd mam prośbę do szlachetnych panów... – Tu pułkownik odczekał chwilę, uspokajając oddech, i powiedział: – Należy odnaleźć maszynę. Wiem, że tam w dole wszystko może być zawalone i pogniecione

do nierozpoznawalnej złomowej masy, ale panowie wprawni jesteście w życiu podmorskim i jako tacy fachowcy trafnie ocenicie przydatność wehikułu.

– Mielibyśmy pana tu tymczasem pozostawić?

– No cóż, wobec tak wielkiego mrowiska Azjatów na powierzchni czeka nas i tak niewola i śmierć. Z pewnością nas nie oszczędzą. Ja jednak ich uprzedzę – powiedział, wskazując na dyskretnie ukryty rewolwer. – Nic z żołnierzy nie wydobędą, bo szeregowcy gównem się znają. Niech sekretem będzie przez długie tygodnie dla rządu i cesarskiej mości to, w jaki sposób dokonaliśmy tego spustoszenia.

– Mniemam, że ostrzegające listy z twardym ultimatum już zostały do władz japońskim przez kuriera rządowego doręczone?

– Oczywiście, panie De Waay. Nasz rząd i oficjele na powierzchni działają bardzo przepisowo. Jeśli udało nam się doprowadzić do potężnej katastrofy, zapewne komunikaty o zawaleniu się lądu dotarły już do władcy Cesarstwa⁴. Następną na liście do zniszczenia jest cała wielka wyspa Shikoku⁵. I plan ten w szczegółach przedstawiliśmy w naszej do władz korespondencji. Jeśli Cesarz podejdzie do ultimatum poważnie, zarządzi natychmiastowy odwrót sił inwazyjnych z terenów południowego Pacyfiku. Całe dziesięciolecie zajmie Japończykom naprawa nadwyreżonych lądów wyspowych. A już wypełnienie wyłobionych kavitacji podporami z żelbetonu potrwa co najmniej dwa wieki.

– To się łotry doczekały – zaśmiałem się, patrząc na dwóch wynędzniałych japońskich wojskowych.

– I jeszcze więcej jest naszykowane. Radary podziemne są im jeszcze nieznane, więc nasze kolejne podkopy pozostaną niezauważone przez dziesięciolecie. A są i takie u spodu tych pierwszych. – Tu zaśmiał się szyderczo.

Posłyszeliśmy jakiś głośny szcęk w ciemnej głębi korytarza i odległe głosy nawoływań, a potem wrzaski, jakie wydaje tylko napadający.

– Pora na was, panowie – ponaglił pułkownik, przelotnie ściskając nasze dłonie. Jakże był w tym bólu niehumanitarnym niepodobny do arystokraty! Wzdrygnąłem się na samą myśl o takim losie. Dopiero później pan Duncan mi wyjaśnił, że stopa pułkownika uległa zmiażdżeniu, a zakażenie dochodziło już do kolana, dlatego też przedstawiał się on tak nieszczęśliwie.

Zanurzając się w wody, usłyszałem jeszcze krótkie, suche wystrzały.
Nie wiedziałem, co myśleć. Postrzelił innych lub sam już leżał
w honorowej krwawej kałuży?

3

Wykładowcy geologii utrzymujący, że Ziemia jest tylko bryłą stwardniałą aż do środka albo w znacznej jej części, całkowicie się mylą. Życie planety bowiem zależy przede wszystkim od sił drzemających w jej wnętrzu, a tymi są, prócz grawitacji, ciepło i elektryczność. I jeszcze na to ciepło składa się żar podziemny i żar słoneczny; tego uczono mnie w szkole. Stąd zagadnienie wszelkich mas ognisto-płynnych i ich zamiany na pokłady stwardniałe tak mnie w młodości porwało, iż zająłem się jego studiowaniem. A wkrótce nowo powstała technologia, kawitologia zwana, przyciągnęła mnie do grona adeptów⁶.

Teraz mogłem te umiejętności wykorzystać praktycznie.

Rzuciliśmy się z lordem Bizzardem ku głębinie wodnej, gdy tylko pojawili się w korytarzach pierwsi żołnierze japońscy, oświetlający sobie drogę pochodniami mineralnymi. Za nim postępowali szybko inni. Z przerażeniem ujrzelśmy prowadzone przez nich na łańcuchach nie tylko potężne psy, ale i hodowane na ludzkim mięsie, czołgające się z wściekłym gulgotem potężne skutnice – foki ludojady. Nie wiem, skąd Japończycy tak szybko dowiedzieli się o zatopieniu, ale musiałem przyznać, że prawidłowo reagowali. Czym prędzej wobec tej niespodzianki czmychnęliśmy ku wodzie. A że była mocno zamulona, wskakujące za nami potwory po kilkuset metrach traciły trop i pod wpływem ciągłych niebezpiecznych obrywów skały rejterowały. My sami z ogromnym wysiłkiem odróżnialiśmy kompletnie zmienione kształty groty, do której uprzednio dopłynęliśmy descenderem. To odnajdowaliśmy drogę, to znów traciliśmy. Lęki nami targały, bo z każdą sekundą wody się filtrowały i zachodziło niebezpieczeństwo odnalezienia nas przez na powrót zmuszone do aportowania foki. Japońcy darli się na zwierzęta i batożyli je za byle przewinienie. Zwierzęta, okaleczone i mocno rozżalone, z furją przeszukiwały tonie.

I w tym tropieniu były coraz bliżej sukcesu.

Nie wiem, czy miałem okazję wspomnieć, iż dostojny lord Duncan posiadał ukryty w zdobionej motywami morskimi szufladzie descendera

stary, oryginalny rewolwer podwodny Gluorów. Nigdy się z nim nie rozstawał, a naboje doń dorabiał sam, w największej tajemnicy, w imadłach własnej roboty. Chował je potem po kieszeniach i przed wścibskim okiem chronił, jakby to były klucze do mieszkania, w którym więzi wbrew woli kochankę. Przenigdy z rusznikarskim rupieciem się nie rozstawał. I tym razem pamięć go nie zawiodła i właśnie jakże fortunnie ważył czarnolufowe cacko w dłoni. Celował albo strzelał na oślep, odwracając się w czasie ucieczki.

Dotarliśmy do porzuconego descendera.

Przyjrzelśmy się zrujnowanej maszynie.

Zadaniem wręcz niemożliwym wydawało się oczyszczenie jej z opadłego gruzu. Bez pomocy narzędzi, wielkim trudem spracowanych rąk, odsunęliśmy zaledwie kilka leżących na niej bloków skały. Wzbudzenie zapłonu grawitacyjnej cewki mogło okazać się niemożliwe. Chyba żeby zaraz całą rzecz jednym wstrząsem ruszyć i postawić wszystko na jedną kartę. Albo zapali, albo imploduje? Ledwie pomyślałem, a już pan Bizzard dał mi znać na migi, że sądzi podobnie. A gdyby tu woda dla ningenów była w okolicy japońskiej fonicznie uzdatniona? Lecz nie może być, by sama z siebie posiadała takie wprost jowiszańskie energie.

Lord Duncan prędko zasiadł za pulpitem sterowniczym i manipulując gałkami, natychmiast uruchomił descendera. Warknął zanurzony w wodzie mechanizm, drgnął i strząsnął z siebie ciężary. Jeszcze chwila i lord Duncan wy dostał maszynę na wolną wodę. Skinął na mnie. Bez namysłu podskoczyłem i wpłynąłem na wolne siedzenie.

Ostrożnie ruszyliśmy w stronę zdemolowanych przestrzeni. Nic tu nie było takie jak przedtem. Rumowisko po rumowisku, każde tak ciasne, iż z trudem zmieściliśmy się w przeprawie. Obawialiśmy się, że wydostanie maszyny na wolne wody może okazać się zadaniem niemożliwym, stąd deliberowaliśmy w myśli, jak by tu zaplanować jej ewentualną rozbiórkę i pochowanie kluczowych elementów w najgłębszym mule.

Wkrótce jednak odetchnęliśmy z ulgą, odkrywając odpowiedniej wielkości skalną studnię. Tuż za jej potężnym progiem napotkaliśmy wyjście na pełny ocean.

Bez wahania wdarliśmy się w mroczną, czystą otchłań.

W kierunku australijskiej płyty kontynentalnej wiodły tutaj wody tak ciemne, że zdawały się tworzyć nieprzeniknioną zasłonę. Kryło się w tej

pociemniałej mocy coś tajemnego, niewytłumaczalnego i groźnego, wyraźnie nakazującego odstąpienie, wycofanie się lub wprost ucieczkę. Nakaz ten z całą pewnością nie pochodził z tego świata. Raczej przeczuwalne niż konkretne kryło się w nim zapewnienie śmierci. Może były to prądy wodne naszej Ziemi obce, bo innoplanetarne?

Cóż, nie było czasu się zastanawiać. Już dostatecznie często wisiało nasze życie na przysłowiowym włosku. Spowszedniał nam strach. Porwaliśmy się i rzucili na oślep w otchłanie obiecujące brak końca. Za nami wibrował od nieustannych wstrząsów pęknięty ląd japoński. Zdawało się, iż wyspa cała wpadła w jakiś niespotykany rezonans, furię nieopanowaną – polegającą na samobójczym rozkładzie wszystkiego, nawet podstaw naturalnego bytu. Być może oto cała ziemia japońska postanowiła utonąć, trawiąc ten nieposkromiony, utalentowany naród i umieszczając na zawsze pod wodą.

Nasz reflektor w wyniku uszkodzenia marnie działał, zatem pan Duncan, posiadając jeszcze przy sobie odrobinę pasty odblaskowej phologhonów – tej samej, która uwiodła jaskiniowych dzikusów – czym prędzej po nią sięgnął. Podał mi szybko naparstek najmarniejszy, abym i ja mógł nacieszyć się bezpośrednią wizją okolicy. Wysmarowawszy działą, mogliśmy mroczny teren jakoś oświetlić.

W miarę szybko zeszliśmy na głębokość kolejnego tysiąca metrów. Wkrótce ze zgrozą odkryliśmy śledzące nas maszyny. Dziesięciometrowe, podobne do wielkich, nitowanych beczek pojazdy szły ku tej samej głębokości. Idąc z nami w łeb w łeb, śledziły.

Prowadzący maszynę lord Duncan skręcił ostro na północny wschód. Tam ostrzegł mnie przed gwałtownym zanurzeniem. Ujrzałem, jak pędzące za nami statki rozsypują się w groźną tyralierę, ogarniają nas, oskrzydłają i wreszcie zaciskają pierścień, podczas gdy my sunęliśmy na pełnej mocy w mroźną otchłań, jedynie możliwą drogę ucieczki. Przyznam, że pozbawiony ekstensywnych treningów wstępnych, niezdolny byłem wytrzymać takiej szybkości zmiany ciśnień. Dlatego obraz dwoił mi się i troił, a w biednych oczach pląsały kolory. Zapadałem w pędzącym wehikule to w śpiączkę, to w migrenę, a zaledwie sięgnęliśmy na głębokość drugiego i czwartego tysiąca, kilkakrotnie zwróciłem wszystkie żołądkowe treści. Ledwie kojarzyłem dochodzące tu głosy, a arystokrata mnie nie żałował, lecz folgował sobie w kpinie. Przyjrzałem się panu Duncanowi uważnie. Jego śmiech zgaś jak nożem uciął.

Ujrzał łypiącą w mym oku nienawiść.

Poczuł, iż mógłbym wzorem Ganimedian wodną masę wokół jego szyi migiem zeszklić.

A mało brakowało.

Z twarzą białą jak kreda próbował szybko oddychać, a widząc mnie co raz mdlejącego, nawoływał klepnięciami z ręki w policzek do opamiętania.

Jakieś pół godziny później odmieniły się role.

On zmęczył się niepomierne ucieczką. Taką zgrozą i osłupieniem napęłniły go idące ku nam błyskawicznie maszyny, że drżał cały jak w febrze, aż uznałem, że nigdy go takim nie widział. Teraz ja prym wiodłem. Sprawnie manipulowałem drążkami, nawet na moment nie zwolniłem pędu. Od prędkości już dzwoniło mi w uszach, ale na zegarach wzrost jej obserwując, wciąż przyśpieszałem.

Jednak ściągający byli tuż, tuż.

Już nas mieli.

Jakież było moje zdziwienie, gdym doprowadzony do furii zderzył się z jedną z maszyn i odkrył, że łodzie są drewniane i pozbawione napędowej śruby. Technologia przekazu prądów cieczy była onczas jeszcze u nas nieznana, więc co rusz pośpieszyliśmy z lordem do poszukiwań wzrokiem, aby wysledzić jakieś mechaniczne konstrukcje. Z podobnymi rozwiązaniami już spotkaliśmy się na Ganimedzie, gdzie ryby pociągowe nagminnie używały pędów wodnych, lecz nie udało nam się wtedy pozyskać instrukcji sekretne przed nami chronionej. Zdziwiło nas, że Azjaci już pryncypia nowej sztuki przemieszczania się posiedli. Podejrzewaliśmy phologhonów udział mających w militarnym pakcie, że zdolni byli technologię tę podarować, byleby tylko wkupić się w łaski sojusznika.

Korzystając z wolnej przestrzeni po roztrzaskanej maszynie, szybko spiralą wymknęliśmy się spomiędzy szpaleru okrążających nas machin. Jednak nawet na moment nie spuszczone nas z oka.

Zapewne ktoś tam już przyuważył nasz manewr, bo zwołano jeszcze inne pojazdy, by na wielkiej szybkości przypłynęły i zaczęły ku nam schodzić, zamykając wszelkie wiodące ku wolności drogi. Czas niemiłosiernie się dłużył. Patrzyliśmy z przestrachem na przeciążonego descendera. A co, jeśli siadą biegi? Większość siedzeń była pusta, co tylko wzmagало braki balansu. Mechanizm napędowy popuszczał masę syczących bąbli idących

od chemicznych reakcji, a motor od ruchu cały się trząsł i raz po raz czerwieniał od termicznego przegrzania.

Wolno zaciskała się mordercza pętla.

Wojskowi na japońskich łajbach pewni byli swego. Widać dotarły tam nowe rozkazy, bo już do nas nie strzelano.

W te pędy zwróciliśmy się ku dnu morskemu, by wniknąć w sztolnię wyżłobioną oceanicznym prądem.

Tutaj beczkowate maszyny nie wiadomo czemu dały za wygraną. Szybko odkryliśmy i my powód tej złożonej sytuacji. Po prostu była to długa, ślepa uliczka, w którą entuzjastycznie wniknęliśmy, całkowicie niesłusznie pewni swego.

Okazało się, iż labirynty owe są zamieszkałe przez mało komu znane, niebezpieczne endemity. Wpierw śledziły nas liczne oczy kałamarnic Humbolta⁷, rej wodzących na tych wodach i dziesiątkujących populację lokalnych rybaków. Lecz potem odkryliśmy utkwiony w nas wzrok ślepi znacznie starszych i z życiem ziemskim niewiele mających wspólnego. Całe kolonie czerpaków i jeżyn ganimedowych, zlepione ze skalnym fundamentem, pośród żywych gąbek i koralowców wiodły żywot podstępny i złośliwy. Zachowaniem swym nie przypominały istot zależnych od materii, lecz epatowały arogancją bestii rozumnych posiadłych dostęp do sekretnych energii. Tkwiły w postaci obserwacyjnej, przypominającej ryby podłożo-przylepne, gotowe, gdy tylko zajdzie potrzeba do trucicielskiego erodowania otaczającej je cieczy. Niczym nam na takim neutralnym biegu nie zagrażały. Jednak atmosfera gęstniała i groza wynikła z sytuacji tak bardzo nam się udzieliła, że bezwiednie pomyśleliśmy o rejterowaniu.

– Nawet niech pan nie wspomina o poddaniu się – warknął do mnie lord w telepatycznym komunikacie, który natychmiast zdziwiony odczytałem.

Pan Duncan, dżentelmen trzeźwo w każdej sytuacji myślący, podjął decyzję o dalszym naszym w jaskinię zanurzeniu. Patrzył na mnie z krzywym uśmiechem, gdym dokonywał w panelu sterowniczym modyfikacji. Potem zacisnął usta, nie popuszczając nawet bąbla. Wstydził się niedawnej utraty przytomności.

– Na jotę nie ustąpię – odparłem na tym samym kanale naszej zespolonej jaźni. Uznał, że z pełnym przekonaniem się wyraził, wobec tego oddał mi natychmiast panel i własne sumienie w wyłączne władanie.

Roześmiałem się w głos, aż partner zdębiał.

– Pan się kiedyś zasmarkasz w tej ironii – stwierdził na kanale myśli.

– Raczej bym dwa razy się zastanowił, zanim miałbym odpowiedzieć – zareagowałem w podobnym stylu. – Przecież nie mamy wyboru, jak tylko brnąć do przodu. Widzi pan chyba, że subtelność owej foniczności wody

z czegoś się tutaj bierze. Mniemam, iż są to tereny nie tylko dla naszych prześladowców obce, ale i groźne.

Rozejrzałem się w sytuacji, kierując descendera bliżej ściany. Podłoże porastały tam gęste wodorosty solarne i stamtąd właśnie nadchodził elektrostatyczny prąd, który powodował to zagadkowe przewodnictwo myśli. Czyżby gdzieś w dwumetrowych, wijących się trawach ukrywały się istoty zawiadujące mocami niezrozumiałymi dla umysłu ludzkiego? Czy to one wzbudzały tę komunikację w celu poznawczym, aby poznać nasze osobiste refleksje i sekrety naszej rasy? A może odnalazłby się tutaj ukryty klucz do tajemniczej foniczności środowisk wodnych księżyców planet zewnętrznych?

Zaraz odepchnąłem dłonie lorda i przełączyłem mechanizmy descendera na minimalne ciągi. W miarę opadania począłem śledzić telekinetyczną aurę otoczenia. Tymczasem lord z palcem na cynglu wodził lufą rewolweru po otaczającym nas gęszczu. Zakładał, że w każdej chwili możemy zostać ostrzelani.

I nic. Tylko wodorosty ustąpiły i jeszcze szerzej rozwarły się przed nami otchłanie wypełnione subtelną luminescencją. Zapadaliśmy w nurkowanie podobnym do swobodnego upadku. Poczułem się pewniej. Pozwoliłem sobie na nieznaczne przyspieszenie.

I jeszcze dodałem gazu.

Szliśmy teraz na dwunastym biegu grawitacyjnym w dół. Rwaliśmy głębinę niczym rzucony w tonie czterotonowy głaz. Lord poddawał inspekcji otoczenie, podczas gdy ja intensywnie myślałem. Raptem stało się dla mnie jasne, że odkryliśmy nieznany zakątek własnej planety, zamieszkały przez nielegalną kolonię obcych. I wtedy wstąpiło na mnie olśnienie, jakby tło wojny nagle przestało istnieć. Oto roztwieraliśmy nowe strony naturalnej historii planety.

Rozglądałem się gorączkowo.

Zapraгнаłem gdzieś tu wylądować i przepatrzyć nieznajome łodygi.

Azali naprawdę pochodziły z kosmosu?

Krajobraz wydał mi się wprost baśniowy. Gdzieżby się przejmować własnym losem, kiedy historia pisała się tu na kartach bodaj najważniejszych do zapamiętania? Gdzie miliardy lat dziwnych i odmiennych dróg ewolucji spletały się w ciąg nowych genialnych zespołów

naturalnego przystosowania i poszerzonej percepcji? Gdzie endemity odnajdywały się w koegzystencji i wygrywały planetarne nisze?

Ale zaraz... Przecież rozpoznawałem te gatunki. Byłem absolutnie pewny. No tak!

Dla bywalca najdalszej solarnej rzeczywistości zaobserwowane szczegóły musiały się wydać znajome!

A co, jeśli Japońcy w ramach jakiegoś innego militarnego paktu zezwolili Obcym zamieszkać porośnięte gęstą roślinnością dno morskie wokół własnej wyspy i tym samym przehandlowali naszą biologiczną wyłączną przyszłość?

Aż ciarki mnie przeszły.

Odegnałem złe myśli.

Wyłączyliśmy maszynierię, zezwalając na swobodne wykorzystanie osiągniętego rozpędu.

Pomimo że znajdowaliśmy się w ośrodku wodnym, gdzie opór własny cieczy winien nas szybko zatrzymać, spadaliśmy z coraz większym impetem.

Jakby ciągnęły nas w dół prądy niesłychane.

Odległe zleby, wpierw całkowicie zanurzone w mroku, z czasem się ostro wyodrębniły. Wciąż pozostały szare i tajemne, by po chwili, pod wpływem reakcji na nasz ruch, gwałtownie się rozpalić. Zapałały ogniem niemożliwej do opisanego, drobnoustrojowej luminescencji. W nowym świetle okazało się, że jest tu bez liku ostrych grani. Pojawiły się też skały o nienaturalnie zaokrąglanych brzegach, pokryte czymś, co na początku wziąłem za mineralne sery. Przy bliższym poznaniu dostrzegłem jednak, że substancja ta przemieszcza się po powierzchni skalnej ze współbieżnymi prądami, pragnąc bliskości światła i ciepła. Ze zgrozą skonstatowałem, iż mamy do czynienia z czymś w rodzaju rozlanej jajecznicy, będącej najpodobniej pierwszą formą rozwojową istot rozumnych, które wkrótce mogły nas poobraszać i mocą zawładnięcia przerazić.

Otóż plugawcy ci z całą pewnością nie ewoluowali ze spokojnej kolebki ziemskiej. Najpewniej pochodzili z siedliska przegnitego, a krążącego po orbicie nieznanej nam gwiazdy. Przekradli się stamtąd poprzez wąskie szczeliny Necrolotum i znaleźli umiejscowienie na Ziemi. Bałem się, iż należą do formy magnetyzującej z oddalenia ciało żywe i powodującej w nim śmiertelne wrzenie płynów – podobne do gotowania się rtęci.

Po chwili dotarliśmy do najpotężniejszej podwodnej jaskini, jaką dotąd w życiu widziałem. Sklepienie wznosiło się tu ku wysokościami chyba niemal stykającym się z powierzchnią lądową, a niespotykane mocarne filary wspierały dach skalny na nieprzewidzianej wysokości. Postanowiliśmy płynąć ku czaszy i tam, jeśli będzie trzeba, wynurzyć się z wody. Wydawało nam się niezwykłym zrzędzeniem losu, że całe to wielkie zagęszczenie komór skalnych posiada własną, wielką kieszeń powietrzną, w żaden sposób nie kontaktującą się z ziemskim światem. Czyżby endemity potrafiły tu kontrolować skład atmosfery, korygując chemiczne jej komponenty poprzez procesy wywołujące proporcjonalne wydzielanie wulkanicznych gazów? Okazało się, że tak w istocie się dzieje. Jakże tu nie wierzyć w rozum naturalnie rozpowszechniony? Na wielkie nasze szczęście istoty te, tak jak i my, potrzebowały jednej piątej obecności tlenu.

Grota ponad nami jaśniała sztucznym światłem, wydobywającym się z tajemnego źródła. Po namyśle postanowiliśmy sprawę zbadać bardziej wnikliwie.

W tym celu wydostaliśmy descendera z wody i przelecieliśmy na wolnym rozpędzie antygravitacyjnym na obszerną przestrzeń kamienistego rumowiska. Tam, osiadłszy na stalowych łapach maszyny, opuściliśmy pojazd. Wysiadłszy, znalazłem zaczopowane dysze i przeczyściłem przewodnice. Przeregulowałem mechanizmy, ale ich podczas testowania nie uruchomiłem, pomny hałasu, jaki czynią. Dotarłem do wzbudnic antygravitacji. Z gorąca niemal się roztopiły. Tu też czekała mnie praca rozbiórkowa. Niewielką chłodnicę udało mi się rozłożyć na części pierwsze i przemyć w destylacie Corolpsa, dostępnym w rozpuszczalnych tabletkach. Dla kontroli na nowo zapaliliśmy motor, tak żeby w razie czego mechanizm był zdolny do lewitacji w każdej dowolnej chwili. Potem wygasiliśmy i usunęliśmy z zamków klucze.

Lord Duncan ponownie sięgnął po krótką broń i zaprosił mnie na eksplorację skalnej niszy, rozświetlonej tu luminescencjami napromieniowanej gliny. Dalej skały porastały glony, identyczne z tymi znanymi mi z najdalszych księżyców Jowisza.

– Widzi pan ten silny odblask w oddali? Aż korci mnie, aby tam dotrzeć – mówił całkiem swobodnie, aż echo się po pieczarze poniosło. Odpakował brezent na szczycie naszego pojazdu, a pod nim, przy napędach, rozwarł

niewielką skrzynkę i począł wyciągać z wnętrza, rozpalać i rozrzucać wokół wojskowe flary.

– Lepiej, żeby jakiegokolwiek zamieszkujące ten zakątek bestie trzymały się od naszych pasażerskich siedzisk z daleka.

– Niepotrzebnie robi pan tyle hałasu – bąknąłem z pretensją. – Tylko sprowadzi nam pan na łeb Japońców.

– Nieraz brak okrziesania uratował mi życie, panie De Waay. Trzeba nam narobić sporo celowego rozgwaru. Obszar to podejrzany, a skradać się nie zamierzam. Niech ci, którzy nas nie znają, myślą, że jesteśmy pewni siebie i przybywamy w dużej liczbie.

Ujął mnie tym postawieniem sprawy. Sam się rozluźniłem.

Pozwoliłem tropicielowi prowadzić się wzdłuż uczęszczanej przez jakieś zwierzęta ścieżki. Najpewniej były to stworzenia morskie, których całe kolonie migrowały pomiędzy poszczególnymi zamkniętymi akwenami. Z pozostawionych śladów pan Duncan wydedukował, że mamy do czynienia z nieznanymi rybami o wadze do dwustu kilogramów, które torowały sobie drogę na żerowisku ruchem superwytrzymałych odnózo-płetw. Pod wpływem przestrochu natychmiast sprawdziłem zawartość bębenka rewolweru. Lord przyjął mój ruch z zimną satysfakcją.

– Spoglądając na pozostawione w gruntach i glinie wyżłobienia mniemam, iż owa płetwa z łatwością byłaby zdolna rozplatać pańską nogę od kostki poprzez łydkę aż do kolana – zaśmiał się. – Niewinnie to one nie mogą wyglądać, jeśli były zdolne zasiedlić światy inne niż swój własny.

– Zawsze pan sobie tak folgujesz?

– Panie De Waay, znamy się już tyle lat. Mam ja przy sobie dobre antidotum na strachy – wyrzekł, wskazując na trzymany rewolwer. Uśmiechnął się szelmowsko i dodał: – Tylko tak się tym gadaniem podniecam, bo czymże wydaje się tygrys w porównaniu z szybkim, wijącym się cielskiem krwiożerczej ryby? – zaśmiał się złowieszczo.

– Nie bawi mnie to bynajmniej – odrzekłem. – Ale coś mi tam majaczy w oddaleniu. Czyżby ukryta podziemna świątynia? – spytałem, wskazując kształt zamglony od dżdżystej zawiesiny, idącej z wszechobecnych wodospadów. Zdumiewałem się coraz bardziej. Szliśmy i szliśmy, a przestrzeń otwierała się przed nami niebywała, jakby ktoś we wnętrzu obrabował górę z zawartości skały. Nie przesadziłbym, gdybym uznał sklepienie wzbite na wysokość dwóch tysięcy metrów za nienormalne! Nie

mogło takie powstać w procesie naturalnym. Wszędzie rozchodziła się delikatna poświata. Jakby unosząca się i subtelnie rozciągnięta mgła posiadała właściwości luminescencyjne.

Zaintrygowani pobieглиśmy, zapominając o wszelkiej ostrożności.

Niebawem wyłonił się z półmroku pierwszy obiekt, stojący na dwudziestometrowej wysokości cokole. Na jego szczyt prowadziły schody wykonane z blachy mosiężnej i z tegoż materiału zrobionymi poręczami. Wbiegliśmy wkrótce pod imponujący brzuch pojazdu, ciągnący się na obszarze jego średnicy, czyli jakichś kilkuset metrów, i tam napotkaliśmy wielkie kałuże zaschniętego oleju. Zatem skonkludowaliśmy słusznie, że obiekt musiał być wytworem mechanicznym, zaparkowanym tu w odległej przeszłości.

– Na Boga, ależ ja wiem, co to jest! – wykrzyknął lord i niebaczny, że niczego nie rozumiem, począł krążyć i rozrzucać dalsze flary, zupełnie ogłuchły od własnych myśli i własnego rechotu. Nie poznawałem go w tej gorączce. I chociaż nawoływałem go do opamiętania, nie udawało mi się uzyskać żadnego z nim kontaktu. Blask, jaki wytworzyły flary, był oślepiający.

– Czyżby odkrył pan okręty gwiazdne, którymi przybyły wszystkie te endemity? – pytałem, uzyskując głuchą ciszę zamiast odpowiedzi. Patrzyłem urzeczony na obraz wyłaniający się z odbłasków pożogi. Obiekt nie dawał się opisać żadnymi słowami. Toż to była nadzwyczaj potężna maszyna! Jej ogrom mnie wręcz porażał. Przypuściłem bowiem, że sklepienie grotu łączyło się na wysokości dwóch kilometrów ze szczytem owej konstrukcji. Dodatkowo, okrążywszy to cudo, odkryłem źródła jego rozmigotanego światła. Były nim rzędy pulsujących wewnętrznych serc, od których odbłasku płonęła skalna okolica. Wydawało się, iż oto odkryliśmy lokalne mechaniczne słońce, od którego skrzętnie pobierały wszelkie życiowe energie stwory, jakie przez tysiące lat utrzymywała pod kontrolą machina.

Lord patrzył na mnie i nie widział.

– Cóż to za mechaniczne monstra? – ponowiłem pytanie, dostrzegając w pełzających rozblaskach inne okręty, stojące na podobnych cokołach w porządku malejącym.

I znów nic. Nie doczekałem się odpowiedzi.

Dałem za wygraną.

Oddaliłem się nieco, zszedłem z cokołu i zacząłem krążyć, przepatrując okolicę, już teraz doprawdy z duszą na ramieniu, bo zdawało mi się, że słyszę stukoty, nawoływania i dawne komendy, i zgrzyt łańcuchów wyciąganych jakoby z gliny kotwic. W ciągle mokrej dłoni dzierżyłem palący rewolwer, i wydał mi się on mały i nic nieznaczący. Czułem, jak po plecach spływają mi strużki nieznosnego, gorącego potu, gdy tymczasem od stóp do głów objęło mnie lodowate zimno.

Dotarłem do ściany skalnej. Podążyłem ścieżką ponad dawnym obrywem. Zewsząd dobiegały niepokojące szmery. Od strachu aż nogi się pode mną ugięły. Wciąż dostrzegałem więcej krzyżujących się, dziwnych tropów. „Dokąd wiodą te poplątane ścieżki?” – pytałem samego siebie z obawą. „Czyżby prowadziły ku tajemnym szczelinom łączącym się z niedaleką powierzchnią, skąd owe rybostwory sprowadzały w dół ofiary?” – rozważałem gorączkowo. Życzyłem sobie jak najprędzej opuścić to miejsce. Optymistycznie chciałem uwierzyć, że Japońce pobudowali tu sobie jakoweś skarbcze zawierające nieprzeciętne zasoby bogactwa i że pilnują tego strażnicy, którzy lada moment nas odnajdą i z zasadzki rozstrzelają. O wersji jeszcze bardziej pesymistycznej od pierwotnych przypuszczeń wolałem nie myśleć.

Patrząc z wysokości najwyższego mi dostępnego skalnego punktu, odkryłem kolejne sześć stojących w oddali maszyn. Zatem teoria o podziemnym narodowym sejfie upadła z kretesem.

Biegiem wróciłem do lorda, by przekazać mu sensacyjną wiadomość.

Nie zastałem go na miejscu. Gdzie on się szwendał?

Podejrzliwie się rozejrzałem. Ani żywej duszy.

Czyżby zginął w zasadzce?

Nagle z lewej strony dobiegł mnie jego śmiech i rzucające w pośpiechu marynarskie przekleństwa. Zobaczyłem go biegającego wokół podstawy potężnego kadłuba. W porównaniu z górującą nad nim konstrukcją lord wydawał się zaledwie krzątającą się mrówką.

– A teraz niech pan uważnie posłucha – rzucił, gdy zauważył, że już z powrotem stanął przy nim na cokole. – Całe księgi spisano. Tysiące prac wydano. W studiach nad kulturą i odcyfrowaniem sekretów przez kilka wieków harowano. Wszyscy bramińscy uczeni mówili tylko o jednym: o Chronometrusie...

– Czymże jest ten „Chronometrus”? Czyżby hinduskim lub atlantyckim bożkiem?

– Jest wehikułem skonstruowanym w odmętach takiej przeszłości, że nawet pierwotne kultury Lemurii⁸ wydać się mogą przy nim nowoczesne.

– I pan sądzisz, że ta cała flotylla po tyluż latach reprezentuje jeszcze jakąś wartość? Zresztą jak może posiadać jakikolwiek poziom technologiczny, pochodząc z tak odległej przeszłości? Czysty absurd! Który to stopień zawansowania miałby być wyższy od naszego?

– Niech pan tylko da mi czas, a skutecznie tę tezę udowodnię – mówił pan Duncan, siłąc się na cierpliwość, bo moja cierpka, wręcz złośliwa, i w sumie bezsensowna uwaga nie przypadła mu do gustu. – Nieważne, panie De Waay, kiedy jegomość konstruktor rozpoczął dzieło, tylko jak daleko w swojej pracy zaszedł – tłumaczył. – A że zaszedł, o tym już świadczą rozmiary dokonania.

– To, że są kolosalne, wcale do mnie nie przemawia. Któż może się tym pordzewiałym złomem zainteresować? Przecież w takim stanie technicznym grat nie zanieśie nikogo na odległe planety. Co najwyżej nada się na przemiał hutniczy.

– Znam osobę, która będzie w dziedzinie uruchomienia ekspertem. – Tu uśmiechnął się tajemniczo. – Zapewniam, że to latało tu i tam, a także było skutecznie pilotowane. Dla pańskiego niedowiarstwa najlepszym i przekonującym dowodem faktu, że nie tak dawno na pokładzie podróżowano, niech będą rozrzucone po otoczeniu okruchy życia przyjowiszowego. Wiadomo, co się na podeszwach butów z obcych światów przyniesie? Ot, i ma pan dowód. – Wskazał na otoczenie.

Zamilkł raptem i oddalił się do swoich rupieci, a ja tymczasem zdałem sobie sprawę, że miał rację. Oto roiło się w okolicy od dziwności. Otaczała ten świat niespotykana, kuriozalna aura. Znów zszedłem z cokołu i począłem zmierzać ku pofałdowanej powierzchni skalnej. Była pokryta ciemnymi obszarami żyznych gruntów i plamami skąpej, rosnącej na nich roślinności. Zacząłem studiować najbliższe sąsiedztwo. Podchodziłem, odginałem łodygi, przepatrywałem blaszki liści i badałem. Przeszłowałem od krzaczka do krzaczka.

Dominowały rośliny podobne do ganimedowych czy też europejskich⁹ podwodnych czocenców¹⁰. Tyle że podległy mocnemu utwardzeniu w środowisku jaskiniowym, czyli lądowym. Jakimż cudem zrezygnowały ze środowiska podwodnego? Tak prędko byłyby zdolne opanować nisze lądowe? Czyżby pierwotnie istniały w obcoplanetarnej glebie jeszcze gdzieś indziej i tylko przelotnie się odnalazły w oceanach Europy?

Rozrzucone flary rozpalały się w każdej sekundzie coraz gwałtowniej, dając więcej światła, tak że u podnóża potężnych obiektów zrobiło się jasno jak w dzień. Również i cisza zapanowała wręcz upiorna. Dość powiedzieć, że okresowe szemranie wody było w tej głuchej pustce przejmująco głośne. Najwyraźniej wysoko przedostaliśmy się w tym nurkowaniu po jaskiniowych komorach. Wspinające się ku powierzchni ściany lśniły od strug wpadającej tu źródlanej wody.

Pan Bizzard dalej krzątał się i biegał, jakby dotknięty jakąś przedziwną chorobą. Robił przy tym szybkie notatki w szkicowniku, a przyniesionym z descendera prętem próbował bez sukcesu zmierzyć gigantyczny obwód stojącej najbliżej maszyny i porównać z wynikami pomiarów obwodów pozostałych maszyn. A że zaniemógł z wysiłku, tedy i mnie poprosił o dokonanie mierzenia wielkimi na metr krokami, które on na głos był zliczał. Wypełnił kartki bazgrołami, którym nadawał znaczenie schematów. Rysował też mapy labiryntu, odwzorowywał kształt otaczających nas skał, przeliczał niewielkie wodospady i nachalnie wypytywał mnie o zapamiętane wartości liczników descendera, jakby tam miał odnaleźć informacje o naszym obecnym położeniu.

Potem przysiadł na kamieniu i dyktując sobie na głos, naprowadził dane bieżącego usytuowania oraz opisał wspinające się ku otchłani pułapów brzuchate cielsko pierwszego machinerium.

Zliczył też pozostałe, których w stojącym dalej rzędzie było razem z pół tuzina.

„Mój Boże, toż to cała flota!” – myślał na głos.

Nie kwestionowałem jego podniecenia, choć sam spoglądałem na to zjawisko raczej obojętnie. Zwrócił moją uwagę i zdziwiła mnie obecność fauny i flory, zupełnie niespotykanej w takiej skali i różnorodności na globie ziemskim, ale tłumaczenie tej kwestii mogło mieć inną niż maszyny genezę. Czyżby naprawdę lord uwierzył, że w całości gatunkowej

przybyła z zaświatów na podeszwach butów nieznanych nam astronautów i skolonizowała ten marny i ciemny kąt? Skąd u takiego pragmatyka i racjonalisty brało się podobne fantastyczne przypuszczenie? Czy mógł mieć stary sztywniak rację i sprzęt ten do startu wymagał wyłącznie zaopatrzenia w paliwo?

Owładnięty tą myślą, poczęłem krążyć i poszukiwać odprowadzeń do domniemanych kranów.

Nie minęła nawet chwila, gdy oczom moim ukazało się rozwiązanie.

Wielkie maszyny spletały się gdzieś u spodów niby pnączami z równie masywnymi agregatami, stojącymi na tytanicznych stalowych kołach. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że obserwuję pradawne cysterny, które najdalszymi wysięgnikami czerpały jakiś produkt morski, przerabiały, a następnie wtłaczały pod obrzmiące kadłuby. Samych wysięgników bym nie zliczył, taki las tu się wszelakiego żelastwa piął w górę i czepiał wystających belek. Widziałem skręcane nitowane poszycia i inne, wytopione niby w szkłe połacie stalowego pokrycia. Wszystko obrosło tu brudem i obrażało zaniedbaniem. Możliwe, że aktywnością własną rozbudziłem czyjeś baczenie, bo życie się pośród tej płataniny hałaśliwie uaktywniło.

Spostrzegłem obecność szeregu nieznanych mi wcześniej zwierząt.

Na przykład zastanowił mnie częsty widok uwieszonego na pnączach nielota, sprawiającego wrażenie ślepego. Na pierwszy rzut oka wyglądał na stworzenie podłe z przyrodzenia i niskie w charakterze, i nad wyraz obskuranckie. Mimo to było dość mobilne i poruszało się bezszelestnie, wspinając się niczym jakowys zwid. Nie chciałbyś, dobry czytelniku, spotkać takiego za sobą w ciemną noc. Charakteryzowało się węzową budową ciała lub, jak kto woli, robaczym, jawnie pierścieniowym tułowiem i osadzoną na tym głową pozbawioną szyi. Fizjonomia podobna do jaszczurzej emitowała sporo iluminacyjnego blasku.

Oddalwszy się nieco od cokołu, spacerowałem już z większą swobodą. Spostrzegłem całe zagęszczenie tych istot, nieopodal siedzących przy niewielkim bajorze. Zupełnie mnie ignorowały, zajęte wybieraniem spomiędzy kamieni fragmentów roślinnej papki. Miękkie dzioby wielkości ludzkiej dłoni wspomagały je w chybotliwym i niezdarnym kroku. Pozbawione oczu istoty wyprężały w naszym kierunku szczyty łbów, na których przypominające pęknięcia rysy wyraźnie emitowały jakieś fale. Pomioty owe nie siedziały bynajmniej w gniazdach, lecz wybierały sobie

płytkie jamy, które odwłokami potrafiły nieprawdopodobnie rozgrzać, aż na długo pozostawały parującymi.

Odnalazłem też ukryte pod płaskimi kamieniami owe ryby, których śladów widzieliśmy wokół zatrzęsienie, a które potrafiły żelaznymi płetwami przecinać drewno. Wszystkie te zwierzęta przywodziły mi na myśl widziane na rycinach sylurskie¹¹ krajobrazy, które zważywszy na odległą epokę, niby z kamienia zostały do żywych przywrócone i w świecie bożego porządku musiały budzić odrazę i przerażenie.

Lord Duncan nagle przerwał swoje obliczenia i moje monotematyczne rozmyślenia. Podbiegł do krawędzi cokołu, odnalazł mnie wzrokiem i przywołał gestem. Nakazał powrót na cokół. Gdym wszedł, poprosił o zachowanie ciszy i poprowadził mnie za sobą, idąc krokiem wytrawnego myśliwego.

– Usłyszałem coś przedtem – wyszeptał mi do ucha. – Ujrzałem. I nie powiem, bym własnym zmysłom dowierzał. Pragnę u pana zasięgnąć opinii, czym czasem od nadmiaru wrażeń nie zwariował.

Idąc za nim po długim moście, najpodobniej skonstruowanym w celu usprawnienia komunikacji pieszej, przekradliśmy się do kolejnej gigantycznej wnęki, tym razem całkowicie opustoszałej. Zaintrygowały nas światła i dudnienie dobiegające z oddali. Spośród wielu skalnych szczelin wydobywały się pomieszane, nieludzkie głosy. Potem znów rozległy się hałasy nie z tej ziemi. Żadna maszyna ludzka takiego rozgwaru nie mogłaby wyprodukować i poważnie obawialiśmy się, czy czasem Japończycy w osobach tych rozlicznych obcych form życia nie znaleźli sobie jeszcze innych zaproszonych na Ziemię pomocników.

– Tam to ujrzałem stworzenie lewitujące, które rzucało wokół tajemne rozblaski – wskazał ręką ku mrocznym dalom.

Wyteżalem wzrok w kierunku wskazanym, lecz niczego prócz latających czerwonych plam, wynikłych z mojego zmęczenia, nie spostrzegłem.

– Doprawdy, panie Duncanie. Niczego podejrzanego nie widzę – oznajmiłem, nie wiadomo czemu przyciszając głos do szeptu.

Nadszedł przeciąg od maszyn i poświst powstał doprawdy szatański. Postanowiliśmy nie ryzykować więcej. Nasze odkrycie było nazbyt cenne, aby miało zostać zmarnowanym. Technologia ludzka mogła się rozwinąć niepomieranie, naśladować tę obcą. Człowiek mógł już wkrótce stać się

panem nie tylko ziemskiego stworzenia, ale każdego innego środowiska rozrzuconego na polach całej Galaktyki. Tak przynajmniej wtedy myślałem. Lord tymczasem, jak miałem się dowiedzieć niebawem, po naszym prędkim do descendera przybyciu, wyznał, iż całkiem inne wynalazł dla naszych odkryć przeznaczenie.

– Toż to skarby pozostałe po wielkich istotach zamieszkujących naszą starą Ziemię. Nie zdziwię się, jeśli są to pamiątki sylurskie – wyznał, przechylając głowę ku mnie. Prowadząc mnie do pozostawionego pojazdu, wskazał fotel ruchem niemal rozkazującym. W jednej chwili zwątpiłem w jego poczytalność. Trząsł się cały jak w febrze i wciąż silnie spotkanie przeżywał.

– Naprawdę pan wierzy w cywilizacje geologiczne? – zagadnąłem doń pojednawczo.

– A jakże? A pan się waha, spoglądając na te wszystkie pogmatwane linie sedymentacyjne? Co więcej, wszelkie masowe groby w skale, pokłady wymierania gatunków są według mnie nazbyt podejrzone, katastrofy zanadto sztucznie wyimaginowane. A to potop serwowany przez Boga, a to karygodne eksplozje wulkanów i erozje, i zderzenia? Jakże to w epokach dewonu, permu i triasu mogło dojść do wyginięcia aż tylu form życia? Sądzą bracia uczeni, że te ostatnie pochłonęło aż osiemdziesiąt procent gatunków morskich, a to oznacza oddziaływanie czynnika zabójczego przez więcej niż pięćdziesiąt wieków.

– A pan skąd o tym wie?

– Od pana Moliera – stwierdził nie bez dumy. – Jakżeby inaczej tłumaczyć zrujnowanie środowiska naturalnego na tak potężną niszczyielską skalę, porównywalną tylko z działalnością szkodliwą na miarę gatunku ludzkiego? Pewnym jest, że za sprawą podobnej maszyny Atlanci zawładnęli i zniweczyli wiele razy naszą biedną Ziemię, nic sobie nie robiąc z planów ewolucji względem ich zejścia z tego padółu.

– Musieliby przetrwać całe eony – wątpiłem. – Albo posiadać sprzęt zdolny do przesiadki w czasie – dodałem, jakbym mówił sam do siebie.

Tym razem w odpowiedzi zmilczał. Jakby zmuszony rozsądkiem własnym, przełknął cisnące się słowa. Zamarł, patrząc to na mnie, to poza mnie, w ciemność za moimi plecami.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli. Miło było widzieć lorda w tak filozoficznym nastroju. Z drugiej strony stan jego emocjonalny kompletnie

mnie zaskoczył. Czyżby coś kryło się za tym odkryciem? Może przygoda, na samą myśl o której mógł zwariować?

Już dużo spokojniej wdrapaliśmy się na siedzenia maszyny.

Widać jednak, że lorda nadal coś gnębiło, bo wciąż motorów nie rozpałał.

– A więc widział pan tę potęgę zacumowaną do cokołów?

– Tak, widziałem na własne oczy – odrzekłem, oddychając głębiej i szykując się w myśli na dalsze porcje nieuzasadnionego marudzenia.

– To dobrze. To bardzo dobrze. Będziesz pan moim świadkiem. Po sporządzeniu dokumentacji konstrukcje przejdą na własność armii i staną się bezcennym skarbem ludzkości – stwierdził z przekonaniem.

– Trzeźwo patrząc, nie wyobrażam sobie ich zastosowania – otwarcie zwątpilem. – Zresztą jak można się do tych skarbów dostać bez wiedzy zajmującego wyspy narodu? Bez pytania wywieźć w kawałkach? Chyba żeby to zrobić skrycie, a wtedy zajmie nam to dziesiątki lat, podczas których naród japoński dojdzie przyczyny naszej euforii i słusznie oskarży nas przed międzynarodowym trybunałem o grabież dóbr historycznych.

– Jest inny sposób... – zareagował z błyskiem w oku.

– A jaki?

– Obsadzenie pojazdów zdolną załogą i odpalenie całego tego złomu ku z góry określonemu celowi.

Tu roześmiałem się na głos.

– Czy aby słyszy pan siebie? Toż to oczywisty nonsens. – Po tych słowach chyba się na mnie obraził, bo na twarzy zmarkotniał. – Kto niby miałby tym wszystkim zawiadować? Kogóż wybrałby pan na pilota? A skąd węgiel lub inny opał? Przecież wątpliwym jest, że ktoś z pełnym bakiem tam na nas czeka. I jak, do diaska, miałyby się te maszyny wydostać spod ciężącej nad nimi pokrywy tysięcy metrów skały?

– To da się zorganizować – rzucił z tym swoim niepoprawnym uśmiechem cwaniaczka.

– Raczej zastanowiłby się pan nad cyklami chłodu i okresami narastających przeciągów, jakie tu panują. Nie wydaje się panu, że przestrzeń podziemna ciągnie się tu nieskończenie? Dziwne to pod oceanem, nieprawdaż? A te dźwięki i obrazy, na których widok się pan przeraził? Może są to jakieś ningenowskie, kosmiczne automobile? A może jest to kraina przez ludzi jeszcze niezdobyta?

– Niech mi pan nie prawi bzdur o przynależności politycznej. Znam ja się na atlantydzkich technikaliach. Sporo materiałów źródłowych w wolnym, podwodnym czasie na Ganimesedzie przestudiowałem. Prawda rysuje się przed mym wzrokiem w ostrych konturach.

– A czemuż to tak ostro się rysuje? – dopytywałem. – Ktoś pana w fachowości uprawomocnił? Otrzymał pan świadectwa? Poręczył prawy profesor i wydał certyfikaty? Ot, pasjonat amator z pana! Przecież jeśli mapy można rysować na powierzchni, to inne ciągłe linie ktoś może ciągnąć pod gruntami. Działki można wytyczać i parcele, a nawet zakładać państwa i grodzić granice. Wszystkie te skarby mogą się należeć władcom podziemnym, legendarnym królom, władającym niepokonaną armią, których jeszcze poznać nie mieliśmy okazji i z którymi zadzierać nam nie wolno.

– Toż to wszystko nam się należy. Odkrywcom... – upierał się z oczyma pełnymi szaleństwa i złości na mnie, jakiej nie widziałem u niego jeszcze nigdy.

– Jeszcze raz to powiem. Nic nam do tego. Próżna pańska euforia. Ktoś zaparkował tu pojazd i wyciągnął zeń kluczyki, a pan, ot tak, od razu wyciągnął fałszywy wniosek. Poczusza się być właścicielem, którym nie jest! – stanowczo oskarżyłem. – Winniśmy się serio zastanowić nad konsekwencjami naruszenia czyjejs własności, panie Duncanie – łagodniej dodałem. Nie chciałem robić sobie wroga z dobrodzieja. – Pojazdy czy fabryki, z którymi mamy tu do czynienia, mogą być wypełnione śpiącymi załogami, złożonymi z istot o nie całkiem pokojowym usposobieniu. Nasze starania mogą ich agresję rozbudzić. A może zaplanowali jakąś inwazję na Ziemię i niezbędny jest im tylko taki sygnał do ataku? Lepiej, jeśli oznaczy pan tę lokalizację na odręcznie sporządzonej mapie, a potem, w czasach spokojniejszych, wspólnie odnajdziemy do niej drogę i całkiem prywatnie zainwestujemy grosz w transportowe węzły, by sprawę delikatnie rozważyć. Któż się dopatrzy kilku rozjazdów na istniejących szlakach naszego kolejnictwa podziemnego? A do tego czasu utrzymamy odkrycie w tajemnicy, której tylko pan i ja będziemy stróżowali.

Lord Duncan wyraźnie się rozpogodził:

– Hm, na to przystać chętnie mogę. Dajesz pan słowo, że zachowasz dyskrecję?

– Honorowe.

– Zatem zgoda. Poczekamy na dogodną chwilę.

– No więc dalej, zapalajmy już ten motor i płynmy – ponagliłem. – Lepiej, żeby nasze odkrycie dotarło do mądrych głów kultury zachodnioeuropejskiej, niż pozostało tutaj, pogrzebane wraz z naszymi martwymi ciałami.

Już mieliśmy ruszyć, gdy jakoś podświadomie odebrałem nieposkromioną, bo nie wynikającą ze świadomej woli, lordowską myśl. Aż mnie zamurowało. Powstrzymałem go przy dźwigni.

– A więc jednak pan prędzej rozpowie – dałem mu do zrozumienia, że wiem o jego skrywanej tajemnicy i planach, jakie ze wszystkim tym wiąże.

Zmieszał się na me słowa.

– No, po czasie tak. Obaj uznamy komu – wytłumaczył.

– Jakimś świetnym uczonym powiedzieć bym się nie zawahał – podpuściłem arystokratę z cierpkim uśmiechem.

– Ma pan na uwadze kogoś takiego jak Ocearus Molier? – spytał ostrożnie.

– No, tego akurat możemy spisać na straty – oceniłem z szatańskim wręcz chichotem.

– A to dlaczego? – zdziwił się, dotknięty uwagą do żywego.

– Gdyż w oddaleniu, w jakim przebywa, żadna wysłana wiadomość do niego nie dotrze – skonstatowałem tonem, jakim rozmawia się z młokosem, bo już go miałem dość. I wyczuł to, bo zmarniał w ogniu mego wzroku, by się po sekundzie zreflektować, na nowo rozgorączkować i żarliwie wyznać:

– Sądzę po pańskich słowach, że jakimś szatańskim sposobem rozszyfrował pan moje myśli – mówił prawie z bólem. – Proszę pozostawić sprawy w moich rękach na przeciąg roku, a dowiodę panu, że się myli. Więcej, stawiam całą moją fortunę na to, że w ostateczności cudu owego dokonam!

– Zaryzykuje pan majątek, żeby co?

– Ano, żeby udowodnić, że się skomunikuję z Ocearusem i me hipotezy o porzuconych wehikułach zweryfikuję. A na razie pan o całej sprawie zapomni i nie piśnie słowa nawet własnej, nader ciekawskiej żonie.

Spojrzałem na niego pewny, że sobie żarty stroi, ale minę miał poważną i w dodatku groźną.

– Umowa stoi. Ale niech mi pan powie, jak pan to widzi? Toż to są rojenia jakieś – wciąż wątpię, patrząc na jego niedorzeczną minę. Bo pieklił się w duszy, że mu odpieram prawo do własnych myśli i potrafię wszystko wprzód przewidzieć.

– Mrzonki? Powiem panu... Są na granicy Indii z Pakistanem góry, z których szczytów możliwa jest komunikacja lustrzana z Marsem. Nikt jeszcze nie próbował owej sztuki z Jupiterem. Będę pierwszy. I nie zrezygnuję, póki nie uzyskam sygnalizacji zwrotnej.

– Czegoż się pan, na Boga, spodziewa? Odpowiedzi z takiej otchłani? Toż to absurd.

Dziwny hałas wokół nas, podobny do ostrego szczebiotu, narastał. Przemknęły po ścianach jakieś cienie, rozlały się blaski i ostre błękitne zygzaki. Nie pora była dalej dywagować. Czym prędzej rozpaliliśmy grawitacyjne cewki. Silnie gdzieś blisko coś zachrobotało, gdy warknął zapuszczony motor. Opuściliśmy niegościnne wnętrza. Wkrótce odbiliśmy od podwodnych skał i wypłynęliśmy na otwarte morze.

Sprytnie przechwycono nas przy wynurzeniu, ale nic nie poczyniono, aby odebrać nam klucze do maszyny. Co więcej, trzymano godziwy dystans od descendera, który lewitując, zaledwie muskał falującą wodę. Przyszła nam do głowy myśl o szybkiej ucieczce w stronę otwartego oceanu, ale widząc wycelowane lufy karabinów, daliśmy spokój mrzonkom. Przybyły na pokładzie patrolowej łodzi admirał azjatycki przekazał nam skrócone odpisy aktów kapitulacji, jakie razem z rozkazami otrzymuje każdy znaczący oficer, i wyjaśnił, że sytuacja polityczna się zmieniła. Wojna była zakończona, wobec tego poprosił, byśmy zaraz skierowali nasz pojazd ku nietkniętym katastrofą portowym dokom miasta Gobo.

Ze zdumieniem ujrzałem kołyszące się tam kanoniery Drabo i Figono. Obie jednostki, należące do forpocztu nadchodzącej sprzymierzonej floty australijsko-birmańskiej, tkwiły już na wyznaczonych pozycjach morskich, to jest w porcie zdobytym na mocy kapitulacyjnych dekretów. W okularze lornetki spostrzegłem też, jak od południa nadciągają w uporządkowanym szyku potężne międzykontynentalne zeppeliny brytyjskie. Poniżej, na pułapie setki metrów, kręciły się szybkie zwiadowcze dwupłatowce. Widziałem też kilkanaście statków desantowych, których masywne cielska już utkwily na głęboko zagrzebanej w piasku linii zniszczonych bunkrów. Ich osmolone burty musnęły blaski zachodzącego słońca, gdy docieraliśmy do redy portu. „Oto, jak kończy samozwańcze imperium” – pomyślałem nie bez satysfakcji. – „Należało teraz pouczyć ów rozzuchwalony naród i przekonać do życia w pokoju i harmonii, ale tego miały dokonać mieszane armie okupacyjne. I nie wierzyłem, aby wystarczył im na to okres lat dwudziestu, jak wspominały podpisane porozumienia”.

Nie wiedzieć czemu eskortujący nakazali nam zbliżyć się do pokładu Figono. Był tam widać ktoś znaczny i znajomy. Nie stawialiśmy oporu. Wylądowaliśmy na pokładzie witani hucznymi brawami. Owacjom nie było końca. Mieli się obserwujący nas wrodoży żołnierze z pyszna, widząc nasz niespodziewany postęp pod ziemią, na wodzie i w powietrzu. Poddali się bezwarunkowo.

A wszystko to była zasługa naszego pozostawionego w niewoli pułkownika, który miał strzelić sobie w łeb, wszedł prędko w negocjacje i roztrząsając warunki szczegółowe, nie zapomniał o nas, pozostawionych w głębinach oceanu. Przeżył był ów dżentelmen nawał wrogiego ataku, a że Japończycy niczego tak w człowieku nie szanują, jak heroizmu i patriotyzmu, pozostawili go przy życiu.

Ze łzami w oczach potrząsałem jego prawicą, a i on, choć kulejący i obolały, nie potrafił oprzeć się wzruszeniu.

– Piszę się na każdą przygodę z państwem, panie De Waay – mruczał, wielce kontent z naszego spotkania na pokładzie Figono. – A i lord ma u mnie punkty za odwagę i przytomność umysłu – pochwalił.

Przypisy końcowe

1 Chronomocja – dyscyplina naukowa zajmująca się badaniem procesu podróży w czasie.

2 Terminy napotymane w tekście, takie jak „podpowierzchnia” oraz „strefa podładowa”, należą do wymyślnego zasobu określeń świata alternatywnego. Jest to celowa archaizacja terminologii opisowej. A co próbuje opisać? Dlaczego zmierza do przypomnienia dziewiętnastowiecznych idei zamieszkałego centrum Ziemi? Otóż okazuje się, że nie wszystko jest jeszcze jasne i strukturalna budowa planety nadal pozostaje nieodgadnioną tajemnicą. Nie wiemy, czy wydobywane paliwa ciekłe i gazowe są biogeniczne, czy abiogeniczne. Jeśli abiogeniczne, oznacza to, że źródeł podobnych surowców możemy spodziewać się na Marsie, Księżycu lub gdziekolwiek indziej. Obie teorie nadal zaciekle ze sobą rywalizują. Dla zobrazowania naszego poziomu rozumienia spraw związanych z budową geologiczną planety podam, że głębokość największego w historii odwiertu dokonanego w Rosji do 2015 roku wyniosła zaledwie 12 kilometrów, co przy 12 tysiącach kilometrów średnicy ma się jak pchła do słonia. Jak można przypuszczać, tamten eksperyment niewiele wniósł do zrozumienia budowy płaszcza Ziemi, zważywszy, że grubość płyty litosferycznej lądu przyjmuje się na średnio 40 km. W badaniach teoretycznych uważa się, że trzydzieści procent powierzchni kontynentalnej leży pod poziomem morza. Na podstawie wyników ekspertyz paleontologicznych i radioizotopowych szacuje się ich wiek na 4 miliardy lat, gdy tymczasem najstarsze znane fragmenty skorupy oceanicznej nie mają więcej niż 200 milionów. Obraz więc pozostaje zaciemniony i niestety nie powstała jeszcze nauka, która w sposób satysfakcjonujący pozwoliłaby nam na eksplorację wnętrza Ziemi. Ale, co ciekawe, w roku 1994 doszło na terenie Boliwii do jednego z najgłębiej sięgających trzęsień ziemi, którego efekty odczuła cała planeta. Analiza sejsmicznej fali w rejonie maksimum pozwoliła badaczom na szczegółowe zobrazowanie granicy pomiędzy niższym a wyższym płaszczem skorupy ziemskiej. I oto odkryto istnienie na głębokości 660 kilometrów pod kontynentem południowoamerykańskim podziemnego masywu górskiego

o wysokości porównywalnej z Himalajami. Wcale nie znaczy to, że napotkamy tam świat rodem z powieści Juliusza Verne'a, ale faktem jest, że od tej pory obraz dynamiki geologicznych nawarstwień znacznie różni się od tego przyjętego na podstawie modelu teoretycznego. Zatem jeśli pod ziemią również formują się góry, to z powodzeniem mogą istnieć tam odizolowane, samoskraplające się akweny i potężne pustostany, które powinny inspirować do opowieści takich jak ta.

3 Subterranium to tajemny, podziemny i ukryty świat. Termin nawiązuje do angielskiej gry słów – *subterranean operations*, w której to militarna doktryna armii amerykańskiej wlicza wszelkie instalacje podziemne, jak tunele oraz raketowe bunkry, do systemu ukrytego frontu operacyjnego. System ten sam w sobie może stanowić zagrożenie, gdyż pozwala przetrwać lub przeniknąć wrogiej armii do głębokiej defensywy oraz pozwala na transportowanie nieokreślonych liczb zamaskowanych ludzi i środków.

4 Autor przedstawia fikcyjną historię alternatywną, jednak walki na Dalekim Wschodzie w czasie pierwszej wojny światowej to doskonały przykład tego, jak korzystać w polityce z kłopotów innych państw. W drugiej połowie XIX wieku Japonia sformułowała swój cel strategiczny, którym było oparcie się obcej ekspansji, zachowanie niepodległości i niezawisłości. W pierwszej dekadzie XX wieku wyznaczyła sobie nowy cel: usunięcie białych ludzi z Azji Wschodniej. Stąd pojawił się pomysł rozciągnięcia tej polityki dalej na południe.

5 Jedna z czterech największych wysp archipelagu Japonii, wielkością zbliżona do Sardynii. Stanowi malowniczą enklawę klimatu i krajobrazów.

6 Kawitologia – całkowicie fantastyczna dyscyplina naukowa, zajmująca się innym niż naturalne procesy geologiczne formowaniem materiałów stałych. Wdrożenie na skalę przemysłową zastosowania strumienia fal magnetyczno-grawitacyjnych Gooseya pozwala między innymi na bezpośrednią zamianę materiału skalnego na jego odpowiednik ciekły – magmę, i w konsekwencji na jej dalszą uproszczoną obróbkę szczegółową – odlewnictwo. Powstały produkt zalicza się co prawda do grupy skał metamorficznych, jednak różni się od nich znacznie budową strukturalną

i właściwościami fizyko-chemicznymi. Proces znalazł szerokie zastosowanie w technikach militarnych i górnictwie hutniczym oraz wytopie tunelowym.

7 Kałamarnica Humboldta jest agresywna i niebezpieczna dla człowieka. Rozmiary zwierzęcia dochodzą do czterech metrów długości, długość macek osiąga dwa i pół metra, a masa ciała do czterdziestu pięciu kilogramów. Kałamarnice żywią się rybami. Często zmieniają barwę, być może w celu porozumiewania się. Żyją około trzech lat, a samce giną zaraz po kopulacji. Ze względu na dużą żarłoczność związaną z szybkim metabolizmem gatunek ten uznawany jest w niektórych rejonach za wysoce inwazyjny. Występuje na Pacyfiku, Atlantyku i w Morzu Karaibskim.

8 Lemuria była hipotetycznym kontynentem na Oceanie Indyjskim, nazwanym tak przez Philipa Sclatera i wymyślonym przez XIX wiecznych darwinistów w celu wyjaśnienia izolacji lemurów na Madagaskarze i występowania skamieniałości ich przodków w Afryce i południowo-wschodniej Azji. Lemuria to też święto w starożytnym Rzymie, podczas którego ojcowie rodzin zaklinali lemury, czyli duchy zmarłych, aby ustrzec domowników przed ich szkodliwym działaniem. Zlepek tych znaczeń dodaje cudownego posmaku grozy i horroru do historii owych zaginionych lądów, bo dalszym wyjaśnieniom nie ma tu końca. Otóż istnieje jeszcze dzieło „Sekretna doktryna” z roku 1888, opisujące wyścigi korzeniowe, które są jakoby etapami ludzkiej ewolucji w ezoterycznej kosmologii. Wyścigi owe odbywały się głównie na zaginionych teraz kontynentach. Opierając się na informacjach uzyskanych przez jasnowidza astralnego uważano, iż termin rasa nie jest już wystarczający dla współczesnej im ludzkości.

9 Europejański – pochodzący z księżycy Jowisza, Europy. W odróżnieniu do europejski, pochodzący z kontynentu o tej samej nazwie.

10 Fikcyjna nazwa zwierzo-rośliny podobnej do charnii, rodzaju miękkiego koralu o kształcie 60 cm pióra przyczepionego do podłoża i żywiącego się przepływającym planktonem. Trzeba podkreślić, że te występujące w okresie edikarskim pod względem anatomicznym należały do innego rodzaju organizmów żywych i jako gatunek reprezentowały ślepy zaułek ziemskiej

drogi ewolucyjnej. Charnia zniknęła po zaledwie stu milionach lat. Jak widać z treści powieściowej, przetrwała w oceanach księżyców Jowisza. Warto napomknąć, że nazwa okresu geologicznego jest całkiem nowa i pochodzi od wzgórz Edicara w Australii Południowej, gdzie w latach 40 zeszłego wieku odnaleziono liczne szczątki pierwszych zwierząt z okresu prekambryjskiego., czyli około sprzed 600 mln lat.

11 Sylur – epoka geologiczna trwająca od 443 do 419 mln lat temu. W owym czasie po dnie morskim wędrowały trylobity i drapieżne staroraki, które polowały na łodziki, to jest przodków współczesnych głowonogów, o prostych muszlach, gigantycznych rozmiarach (do 9 metrów) i twardych „dziobach”, którymi mogły skruszyć pancerze trylobitów. Kręgowce, obecne w morzach już od końca epoki kambru, zaczęły wtedy przybierać kształt coraz bardziej przypominający ryby.

Chronometrus

Copyright © Jan Maszczyszyn

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2021 r.

druk ISBN 978-83-7995-554-1

ebook ISBN 978-83-7995-557-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Marta Kładź-Kocot

Korekta: Bożena Walewska

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Agnieszka Zawadka

Skład i typografia wersji drukowanej: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl

Przygotowanie wersji elektronicznej: Epubeum